

PSYCHE

NAPISAŁA ZOFIA WÓJCICKA

Рема Јенунови Пресмупкевину

ауторка

Краков 14. IX. 901.

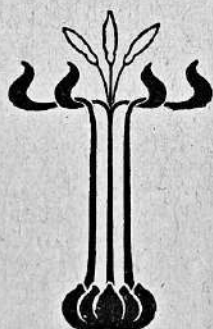
PSYCHE

PSYCHE

TRAGEDYA DZIECIEGA DLA DOROSŁYCH LUDZI

W TRZECH AKTACH

NAPISAŁA ZOFIA WÓJCICKA



W KRAKOWIE

W Drukarni „CZASU” pod zarządem J. Łakocińskiego

1901



Wobec scen wszystkie prawa zastrzeżone.

II 70.578

NAKŁADEM AUTORKI.

143 K 732

OSOBY:

KRAKÓW:

PANI ANIELA ŁASKA
 HELENA } jej córki
 LUDKA }
 WŁADYSŁAW, ich kuzyn
 PAN CZOPOWICZ
 REGINA
 TADZIK, jej brat
 BABCIA tych dwojga
 DASZOWSKI
 ELŻBIETA
 ANNA
 MARYA
 HENIO

P. KOSMOWSKA
 » MORSKA-POPŁAWSKA
 » JUTKIEWICZÓWNA
 » MIELEWSKI
 » ZELWEROWICZ
 » SIEMAŚKOWA
 » PAWŁOWSKI
 » WOLSKA
 » JEDNOWSKI
 » CZECHOWSKA
 » MICIŃSKA
 « ŁAZAREWICZÓWNA
 » ZAWIERSKI

LWÓW:

P. ROTTEROWA
 » BEDNARZEWSKA
 » JANKOWSKA
 » STANISŁAWSKI
 » FELDMANN
 » ARKAWINÓWNA
 » NOWACKI
 » GOSTYŃSKA
 » ANTONIEWSKI
 » NAŁĘCZÓWNA
 » OGIŃSKA
 » MROZOWSKA
 » KLIMONTOWICZ

Rzecz dzieje się w większem mieście.

Wystawiona po raz pierwszy w Krakowie dnia 9 marca, we Lwowie
 dnia 12 marca 1901 roku.

AKT I.

Ładny, z komfortem urządzony salon letni. W głębi całą prawie szerokość sceny zajmują drzwi oszklone, prowadzące na werandę, skąd się schodzi do ogrodu. Piękne, wiosenne popołudnie. — W ogrodzie jasno i słonecznie, na terasę spuszczone markizy. Z lewej strony z frontu drzwi do innych pokoi. Cała ściana prawa zasłonięta piękną draperią gorąco-żółtą, w której ukryte są małe drzwi do pokoju pani domu. Foteliki i kozetki różnych stylów, taburety, kwiaty, obrazy, gustowne cacka, i t. d. Z prawej, w głębi, na tle draperyi, fotel bujający, zwrócony trochę bokiem do widzów.

SCENA 1.

PANI ANIELA ŁASKA — LUDKA.

P. ANIELA *(siedzi na fotelu bujającym i kołysząc się lekko, czyta jakąś powieść. Jest to osoba bardzo piękna, blondynka, lat 38, ubrana ze smakiem i kokieterią w jasną suknię wiosenną, koloru róży herbacianej).*

LUDKA *(chodzi z lewej od drzwi z frontu do werandy, także z książką w ręku, powtarzając półgłosem lekcję, której się uczy; lat 14, w sukience całkiem krótkiej, po dziecięcinnemu, w fartuszkach, z włosami à l'enfant. Kanciasta i wyrośnięta. Oczy sprytne, z których wyziera t. zw. „Altklugheit“. Chodzi tam i napowrót, mruczając).*

P. ANIELA *(czyta — tak mija dobra chwila).*

LUDKA (*nagle*) Mamusiu... — w którym to roku był ten sławny sobór w Konstancyi? — (*widząc, że matka zaczytana nie odpowiada*). Mamusiu... — (*głośniejsz*) Mamusiu!

P. ANIELA (*jak zbudzona ze snu*). Co? Czego tak krzyczysz?

LUDKA. Chciałam tylko zapytać — w którym roku był ten sławny sobór w Konstancyi? — (*P. Aniela czyta znowu*). No, wie mama, ten, co to na nim uradzili spalenie Jana Husa.

P. ANIELA (*zajęta czytaniem*). Nie wiem. — Daj mi pokój!

LUDKA (*na pół do siebie*). Spytałam się Tadzika... — (*znów mruczy — po chwili*). Mamusiu! mamusiu!

P. ANIELA. Cóż tam nowego?

LUDKA. Ale tyś się uczyła przecież tego?

P. ANIELA. Uczyłam się. — Naturalnie... Mówiłam ci tyle razy, że nie lubię, aby mi przeszkadzano... (*po chwili, nie odwracając się, wyciąga rękę*). — Ludka — papierosa!

LUDKA (*biegnie prędko, przynosi papieros i zapala — po chwili*). Czy to taka zajmująca książka, mamusiu?... Musi być bardzo zajmująca!... i mądra!... (*wzdycha*).

P. ANIELA (*czyta, — paląc papierosa*).

LUDKA (*po chwili*). Mamusiu, a to po co uczymy się rzeczy, których potem zapominamy?

P. ANIELA (*nie odwracając oczu od książki*). Nie nudź mnie — nieznośna jesteś z temi ciągłemi pytaniami.

LUDKA. To musi bardzo boleć, jak tak kogo żywcem palą... Ten Hus to musiał być jednak dzielny człowiek! Tak życie stracić, a nie wyrzec się przekonań swoich... Jak to musi być pięknie!

P. ANIELA. Nie nudźże mnie! Mogłabyś iść się uczyć do ogrodu!

LUDKA (*podskakując z radości, chce biec z radosnym okrzykiem*).

P. ANIELA. Albo nie, zostań. — Muszę cię przecież pilnować. O, ja cię znam, znowu nie nauczyłaś się i miałabyś złą notę... I to z religii! — Wstyd! Taka duża dziewczyna! A czy ty wiesz, że kobieta bez religii jest potworem! (*znów zabiera się do czytania z westchnieniem*). A jak się nauczysz, to daj książkę, wysłucham cię!... (*pauza*).

LUDKA. (*mruczy znów chodząc, nagle wybucha śmiechem*).

P. ANIELA. Znowu? Z czegoś się śmiejesz?

LUDKA (*chichocząc*). No powiedz mamó, czy to nie zabawne... posłuchaj tylko mamó! — wyliczę ci wszystkie sobory, tak jak nam podyktowała panna Jadwiga... (*recytuje śpiewnie, łącząc razem po trzy zgłoski*). Ni Ko Ef, Chal Ko Ko, Ni Ko Ia, La La La, Lu Lu Li, Kon Flo Va, Tri Va.

P. ANIELA (*z gniewem*). Cóż to znowu za piosneczka?

LUDKA. To nie piosneczka, mamó... to sobory... Nicejski, Konstantynopolitański, Efezki, Chalcedoński...

P. ANIELA. Także koncept wymyśliłaś!

LUDKA. To nie ja, mamó, to panna Jadwiga... U nas w szkole...

P. ANIELA. No, dosyć już, dosyć... Chodź do mnie... teraz konwersacya francuska... (*odkłada książkę z westchnieniem*). Es-tu prête?

LUDKA (*składając książkę, siada na niskim taburecie także z westchnieniem*). Oui, maman.

P. ANIELA. Sois attentive et appliquée, afin que je n'aie pas besoin de te gronder.

LUDKA. Oui, maman.

P. ANIELA (*kołyszając się w fotelu*). Comment as-tu passé ta journée d'aujourd'hui?

LUDKA (*znać, że myśli o czem innem*). — Oui, maman.

P. ANIELA. No widzisz! I znów nie uważasz! Jakie ty mi ciągle sprawiasz zmartwienie!

LUDKA (*całując ją w rękę*). Już nie będę, mamusiu!

P. ANIELA. A zatem — comment as-tu passé ta journée d'aujourd'hui?

LUDKA (*jąkając się*). Je... Je me suis levée à... à dix heures...

P. ANIELA. Co ty mówisz?

LUDKA. A sept heures... après, je... Après, que je m'habillais...

P. ANIELA (*poprawia*). Après m'être habillée...

LUDKA. Après m'être habillée... je... j'ai pris mon thé...

P. ANIELA. No — cóż dalej?

LUDKA (*zamyśla się — po długiej chwili — wzdycha*). Chciałabym mieć taką piękną, silną duszę, jak Hus albo...

P. ANIELA. Nie myśl teraz o Husie, tylko o tem, co mówisz... J'ai pris mon thé... cóż dalej?

LUDKA. Mamusi — powiedz mi, czy jak człowiek się rodzi, to ma odrazu duszę?

P. ANIELA (*wstając z gniewem*). Kiedy ty jesteś niepoprawna! Ach, Boże mój, Boże, za cóżes mnie skarał takimi dziećmi? — (*prawie ze łzami w oczach siada z lewej, podpartszy się ręką*).

LUDKA. Nie gniewaj się mamusi, ja to powiedziałam tak — niechcący... J'ai pris mon thé et je suis allée au jar... (*tajemniczo*). Mamusi... wiesz, wczoraj widziałam, jak pan Czopowicz w altanie...

P. ANIELA (*odwraca się żywo*). Coś widziała, gdzie, kiedy? Dlaczego szpiegujesz pana Czopowicza?

LUDKA. Ja nie szpieguję, mammo... ale wczoraj widziałam, jak...

P. ANIELA (*z gniewem*). Nieznośne stworzenie! Żebyś mi tego nigdy nie robiła! Nie chodź tam nigdy — rozumiesz? Ty moje utrapienie! Masz! Masz! (*uderza ją po rękach*).

LUDKA (*krnąbrnie*). No — mammo — no! Mama zapomina, że już nie jestem dzieckiem — no! (*wybuch płaczem i chce wybiedz do ogrodu*).

P. ANIELA. Zostaniesz!

LUDKA (*staje przy drzwiach i płacze cicho*).

P. ANIELA (*łagodniej*). Chodź tutaj! — No nie płacz!... (*Ludka płacze głośniej*). No chodź, chodź, ty moja wieczna zgryzoto!... (*sadza ją sobie na kolanach, głaszcze włosy i całuje po twarzy i rękach*). No — no — moje małenstwo — ty przecież wiesz, że ja cię kocham — i ty mnie kochasz, prawda? Tyś moje najmilsze dzieciątko? — Ty mnie bardziej kochasz, niż Hela, prawda, że bardziej?

LUDKA. Tak! (*ściska ją — uspokoivszy się*). — Nie bój się mamusiu — ja jej tego nie powiem!

P. ANIELA. Tak, tak, nie mów jej nic — ja jej to potem powiem sama. Nie mów nikomu.

LUDKA. Ale co znowu! Nie pisnę ani słówka! Jak mamusię najszczerzej kocham! O! ja umiem zachować tajemnicę, zobaczy mama! (*całuje ją — przypatrując się jej z podziwem*). Ach, jakaś ty śliczna, mamusiu! Tyś jeszcze ładniejsza z bliska, niż z daleka!

P. ANIELA (*uśmiecha się do niej*).

LUDKA. Szczególniej, gdy się uśmiechasz... (*z westchnieniem*). Ach — jaka to szkoda, że żadna z nas nie jest podobna do ciebie! Gdzie tam Helce do ciebie! Wiesz, słyszałam przedwczoraj, jak pan Ludwik mówił do pana Czopowicza: „Śliczna kobieta — córka ani się umyła do niej!”

P. ANIELA (*z radością*). Co? Tak powiedział? (*spostrzegłszy się*). To źle powiedział! A tobie nie trzeba było słuchać! Nie dbam o to, co o mnie mówią, a moje dzieci są dla mnie najpiękniejszymi na świecie! (*całuje ją — nagle żywo*). A cóż pan Czopowicz?

LUDKA (*niepewnie*). O! on także się zachwycił tobą, mamusiu. Powiedział mu, że... masz noc w oczach, a na głowie słońce.

P. ANIELA (*z ukrywaną radością*). Co ty mówisz? I to pan Czopowicz powiedział? (*patrząc jej w oczy badawczo*). Czy tylko nie kłamiesz?

LUDKA. Ja miałabym klamać? Wstydź się, mamusiu! (*Pani Aniela całuje ją i tuli*). Ach, ty masz doprawdy włosy, jak ze słońca — (*bierze jej włoszek jeden*) takie cięniutki, złociste... a jakie masz śliczne, równiutkie brewki... (*chce ją pogłaskać po brwi paluszkiem*). Pozwól mi raz jeden...

P. ANIELA (*usuwając się zmięszana*) Nie, nie, daj pokój, dosyć już tego...

LUDKA. Ale nie puszcze cię, nie puszcze... (*Dotknąwszy brwi palcem — tryumfująco*) A co! pogłaskałam! — (*całuje ją namiętnie*) Moja ty śliczna, moja cudna, moja jedyna...

SCENA 2.

CIŻ — CZOPOWICZ

CZOPOWICZ (*ukazuje się w drzwiach do ogrodu, lat 40-parę, bardzo elegancki, z małą łysiną, na którą zaciąga sobie włosy*).

P. ANIELA. (*broniąc się Ludce*). Nie, daj pokój, no dajże pokój, Ludka... Pognieciesz mi koronki, aj, moja fryzura!...

LUDKA (*w zapale*). To nic, to lekcyja francuska... Comme vous êtes belle, comme vous êtes belle maman! — (*nagle*). Mamusiu, zapomniałam, jak jest: „ubóstwiam cię“?...

P. ANIELA. Je vous adore.

LUDKA (*całuje ją dalej*). Je vous adore, comme vous êtes belle, je vous adore...

CZOPOWICZ (*przygląda się tej scenie — nagle głośno*). Co za rozkoszna idylla!

LUDKA (*zeskakując z kolan matki*). A! pan Czopowicz!
(*chichocze i skacze klaszcząc w ręce*).

P. ANIELA (*zmięszana, poprawiając włosy*). To pan? Doprawdy, to to... szalone dziecko, miałyśmy lekcję i... nie uwierzy pan, jak to trudno wychować takiego dyabelka...

CZOPOWICZ (*z umizgiem, podchodząc do niej*). A zawsze przy pracy, zawsze przy obowiązkach... (*całuje ją w rękę — czule — cicho*). Powinienem być zazdrosnym.

P. ANIELA. (*z uśmiechem, niby zadłżana*). Szkaradnik!... Ale wybaczy pan, że go zostawię na chwilę — ta mała takie spustoszenie sprawiła w mojej toalecie — (*wychodzi na prawo*).

CZOPOWICZ (*z ukłonem*). Królowa odchodzi do swego sanktuarium, nie zatrzymuję...

P. ANIELA (*wyszła*).

SCENA 3.

LUDKA — CZOPOWICZ — (*potem*) P. ANIELA.

LUDKA (*chodzi tam i napowrót, podrzucając książkę i spoglądając na niego z pod oka, nagle patrzy na wskazujący palec prawej ręki, którym pogłaskała brew matki, wybucha śmiechem, spostrzega się, chichocze cichutko*).

CZOPOWICZ (*także chodzi tam i z powrotem, spoglądając na nią z pod oka i uśmiechając się do niej. Nagle*). — A prawda, ja mam coś dla panny Ludki...

LUDKA (*żywo*). Cukierki!

CZOPOWICZ (*dając jej paczkę, którą zostawił u wejścia wraz z kapeluszem i wiązanką kwiatów*). Proszę... proszę je schrupać tymi małymi białymi ząbkami, mała myszko... (*bierze ją pod brodę — sentymentalnie*)
A przy każdym proszę pamiętać o mnie...



LUDKA (*dygając*). Dobrze... będę pamiętała... (*do jego ucha — figlarnie*). — Ojezulku! (*z przekornym chichotem odskakuje od niego*).

CZOPOWICZ (*z radością, z którą nie chcąc się zdradzić, grozi jej*). *Enfant terrible!*

P. ANIELA (*wchodzi, przyprowadziwszy toaletę do porządku*).

CZOPOWICZ (*spostrzegłszy ją, biegnie po kwiaty i potem spieszy do niej, podając jej z ukłonem i czułym uśmiechem*). Jest już... nasza królowa... (*całuje jej rękę z lubością*).

P. ANIELA (*biorąc kwiaty*). Dziękuję... pan codzień uprzejmiejszy...

CZOPOWICZ. A pani codzień piękniejsza... Córka słońca, a siostra księżycy — tak jak cesarz państwa niebieskiego... Czyż mogłem wynaleźć lepszy tytuł dla pani? Zawsze w słońcu i złocie.

P. ANIELA. Czy wie pan, że mój mąż nieboszczyk nienawidził żółtego koloru... nie mogłam go też nosić wcale. Za to teraz... panu się to podoba, że mimo blond włosów ubieram się chętnie w kolor żółty...

CZOPOWICZ (*znów całuje ją w rękę*). Filutka! Wie pani, że ci w nim cudownie!

P. ANIELA (*sentymentalnie*). Istotnie, kocham się w żółtym jaskrze i herbacianej róży... (*z kokieteryą, wskazując na drzwi z prawej, z kąd wyszła*). Tam u mnie wszystko jest w kolorze słońca...

CZOPOWICZ (*cicho*). Kiedyż będzie mi wolno ujrzeć to samemu?...

P. ANIELA (*przerywa mu, zanim skończył — cicho*). Cicho... mała jest... Pogadamy potem... (*głośno*). Ale wie pan mamy dziś gości — dziś obchodzimy święto...

CZOPOWICZ (*cicho*). Miłości!

P. ANIELA (*udając, że nie słyszy*). — Wiosny — dziś imieniny Helenki...

CZOPOWICZ (*chwytając się za kieszeń na piersiach*). A wiem, wiem, nie zapomniałem o tem... Sądzę, że wolno mi już będzie... na zadatek przyszłości... Maleńką drobnostkę...

P. ANIELA. Pan nas psuje doprawdy... (*Czopowicz całuje ją w rękę*). Moje dziewczęta zaprosiły parę przyjaciółek i urządzają partję krokieta... Niech się dzieci bawią... Dzisiaj ich dzień...

CZOPOWICZ (*całując ją w rękę*). Co to za matka! Pani jesteś pod każdym względem ideałem kobiety!

P. ANIELA. Ale proszę, przejdźmy do ogrodu... Tam chłodniej. Pan pozwoli... ja tam zaraz idę... chciałam tylko zarządzić... (*zwraca się do Ludki*).

CZOPOWICZ. Gospodarskie sekreciki — odchodzę. (*wychodzi z ukłonem, zawsze elegancki i uśmiechnięty uprzejmie*).

P. ANIELA (*cicho do Ludki*). Każesz Karolce przygotować chłodniki i poszlesz je do altany.

LUDKA. Dobrze, mam!

P. ANIELA. Tylko niech do oranżady włoży dużo cukru. Pan Czopowicz lubi bardzo słodką. — Pamiętaj. — (*chce iść za nim*).

LUDKA (*zatrzymuje ją z domyślnym uśmiechem*). Mamusiu — ile on cię dziś razy w rękę pocałował? (*chichocze*).

P. ANIELA (*z gniewem*). Milcz! (*odchodząc*). Wieczne moje utrapienie!

LUDKA. Nie bój się mamusiu — ja nie powiem nikomu — jak mamusię... (*nie kończy, zamyśla się, idzie do stolika, gdzie miała swoje książki, zbiera je, niesie, po drodze upuszcza piórnik, który pada z hałasem i otwiera się; klęka przy nim, zbiera ołówki i pióra, znajduje kawałek kredy. Ogląda się, czy kto nie widzi, odgryza kawałek, chowając resztę do piórnika. Wstaje i idzie do ogrodu, po drodze przypomina sobie*). Aha! oranżada! — (*wraca do drzwi z lewej — po drodze staje — cicho*). Ciekawam — co też Czopowicz przyniósł Heli..

Aj! (biegnie do drzwi z lewej, w drzwiach spotyka się z Heleną niosącą kwiaty, uderzają się wzajemnie — stają i pocierają sobie czoła. Nagle obie patrząc na siebie wybuchają śmiechem). A niechże cię! Takeś mnie huknęła...

SCENA 4.

LUDKA — HELA.

HELA (śmiejąc się). Com ci zrobiła?

LUDKA. No, huknęłaś mnie.

HELA. Jak ty mówisz, Ludka? Ale co to? Masz was białą z jednej strony! (śmieje się — nagle seryo). Przyznaj się — znów jadłaś krede?

LUDKA. Nie — nie jadłam. A tobie co do tego? Jak tylko kiedy robi się trochę weselej, to ty zaraz musisz wszystko zmrozić... Mentorka! Zresztą — to trudno! Każdy ma swoje! Ja mam kredę, a ty — Ach! żebyś ty wiedziała, jakaś ty nieraz śmieszna z miną obrażonej królowej, zepchniętej z obłoków! Rym! Hihhi!

HELA (surowo). To bardzo niezdrowo jeść kredę, Luciu! (bierze ją w ramiona, łagodniej). Przrzeknij mi, że już tego więcej nie zrobisz?

LUDKA. Ale przrzekam, przrzekam. Jak mamę kocham najszczerzej, nie będę... (Hela puszcza ją). Jak tak mówisz do mnie, to co innego... (za plecami pokazuje jej figę z miną, która mówi: Aha! zaraz!)

HELA (odwrócona, kładzie kwiaty w wazon w głębi). — To dobrze!

LUDKA. Wiesz... Przyszedł Pan Czopowicz... (podskakując). A jakże! I przyniósł ci coś!

HELA (odwraca się zdziwiona). Mnie, Pan Czopowicz? Co?

LUDKA. No, co, to ja jeszcze nie wiem... (ze sprytną miną). Ale się dowiem... O! ja wiem wszystko! (widząc, że Hela odwraca się od niej, wzruszając ramionami,

nie uważa na nią, skacze dokola niej). Wiem jeszcze coś... ale nie powiem! *(śpiewając)* nie powiem — nie powiem... *(nagle tajemniczo)*. Podслуchałam wczoraj w altanie, jak...

HELA *(przerywając jej)*. Nie nie chcę wiedzieć — słyszysz! Jak ty się nie wstydzisz! Tyle razy mówiłam ci, że to brzydko podслуchiwać!

LUDKA. Phi! Jak nie, to nie, ojej! to się nie dowiesz, kiedyś taka głupia, a ja co wiem, to wiem! — *(podskakuje, nucąc)*.

HELA *(poprawia firanki)*.

LUDKA *(podchodząc do niej — szeptem)*. — Słuchaj, Hela.

Jaką to książkę dał ci wczoraj Tadzik?...

O nie zaprzecz się... widziałam! — Daj mi tę książkę, moja złota, kochana... *(głaszcze ją po twarzy)*.

HELA. Nie można! To książka nie dla dzieci.

LUDKA. Tak? to ty czytujesz takie książki? Uhm! Słuchaj! — Daj mi ją, moja droga... No — dasz mi ją, czy nie — bo inaczej powiem mamie.

HELA. Ludka!

LUDKA. Ludka! Ludka! Żebyś ty nie była dla mnie zawsze taka... *(gest)* „mamowata“ to lepiejbyś wyszła na tem... Ale u ciebie zawsze nos na trzy piętka. Nie jestem ja znów taka głupia, jak się wam wszystkim zdaje. *(Po chwili — z szelmowską miną)*. Przyznaj się, bardzo jesteś ciekawa?

HELA. Czego?

LUDKA. No — tego — wiesz! Ale ja ci nie powiem! Żebyś była inna, to co innego — ale tak!

HELA *(siada przy stoliku z lewej i przegląda ilustracje)*.

LUDKA. O, nie czekaj, one jeszcze nie przyjdą tak prędko... *(staje za nią — po chwili)*. Helu?

HELA. Cóż?

LUDKA. O czym to wy zawsze tak długo rozmawiacie z Tadzikiem?

HELA. O książkach, literaturze, życiu, o wszystkim...

LUDKA (*robi niedowierzającą minę*). Uhm... (*nagle, ogłędając się, cicho*). Słuchaj, czy on cię już kiedy — pocałował?

HELA (*zdumiona, — patrzy na nią*). Kto?

LUDKA. No, Tadzik! (*obejmuje ją nagle za szyję — prędko*).

Moja droga, moja śliczna, ja nikomu nie powiem... Powiedz mi, jam taka ciekawa, jak to jest — mnie przecież możesz powiedzieć! — (*uderza się ręką w piersi*). U mnie, to jak w grobie... O, ja już się tak nauczyłam, że nikt po mnie nie pozna, że ja coś wiem... patrzę w oczy, jakby nigdy nie i ani się nie zaczerwienie! Cóż tak na mnie patrzysz, jakbyś mnie polknąć chciała? Niby ty to nie umiesz udawać niewiniątka! No, powiedz mi, moja droga — całował cię? Ja nikomu nie... jak mamę najszczerzej...

HELA (*przerażona*). Luciu — co ty mówisz? (*chwytą ją za ręce*). Ty chyba nie wiesz, co mówisz?!

LUDKA. Puść mnie — no, powiem mamie!

HELA (*puszcza ją*).

LUDKA (*zadąsana*). Nie, to nie! Ojoj! Jaka mi skryta! Myślałby kto, że taka święta! Ho, nie bój się! Widziałam ja nieraz, jak mama płakała na ciebie! A! widzicie, jak ci to poszło po nosie, że ja to wiem! A wiem. A zawsze wiem (*odchodząc*). I teraz, co wiem, to wiem, a tobie nie powiem, a nie! (*w drzwiach pokazuje jej język*). He — madame! (*z akcentem na pierwszej zgłosce — ucieka*).

SCENA 5.

HELA sama — później P. ANIELA.

HELA (*patrzy za wybiegającą Ludką, zamyśla się smutnie, spuściwszy głowę — pauza*).

P. ANIELA (*wchodzi żywo z ogrodu*). Ludka! gdzież ta oranżada? — Ludka! —

HELA (*odwracając się na głos matki*). A! to ty mamo! (*biegnie do niej i całuje ją w rękę i w twarz kilka razy z pieszczotą*). Jaka dziś śliczna! To dla mnie?

P. Aniela (*rozstargniona*). Nie wiesz, gdzie Ludka? Poszła i przepadła...

HELA. Wyszła stąd przed chwilą! zawołam jej...

P. ANIELA (*zatrzymując ją*). Zaczekaj! (*nie patrząc jej w oczy*). Przyszedł pan Czopowicz... proszę cię, Helu, bądź grzeczną dla niego... Ostatnim razem byłaś dla niego trochę... trochę kostychną... Proszę cię, aby się to więcej nie powtórzyło.

HELA. Nie gniewaj się, mateczko, ale doprawdy, nie mogłam już wytrzymać. Wygadywał takie okropieństwa...

P. ANIELA (*szttywniejąc*). Wcale tego nie uważałam!

HELA. Ależ okropieństwa! I poco objawiać swoje zdanie w kwestyach, o których się nie ma pojęcia! I to jeszcze z taką pewnością siebie! Dziwna rzecz doprawdy, że najbardziej apodyktyczne sądy wygłaszają zwykle ci, co do tego najmniej mają prawa.

P. ANIELA (*podrażniona*). Helu! — zapominasz, że i ty wygłaszasz zdania zbyt apodyktycznie. Jak na młodą panienkę, masz zdania zbyt śmiałe. A pan Czopowicz...

HELA. Pan Czopowicz niech lepiej milczy, gdy mówią o rzeczach, przerastających jego ciasny umysł. Naraża się tylko na śmieszność.

P. ANIELA (*głośno*). Milcz! i wiedz, że mnie podobało się zapatrywanie pana Czopowicza. Jestem zawsze tego samego co on zdania — proszę o tem pamiętać. — Jest to człowiek...

HELA. On — człowiekiem? Nie uwierzę w to nigdy! nigdy! Ależ właśnie mamo, ja mu to tylko zarzucam że nie jest człowiekiem! Nic więcej! I byłby zupełnie nieszkodliwym, gdyby nie udawał tego, czem nie jest. Oszust!

P. ANIELA (*blada z gniewu — po chwili cicho*). Znowu! — znowu wygłaszasz te dziwne, te bluźniercze zdania. — Znowu tak wyraźnie stajesz przeciwko mnie... — jak zawsze... jak zawsze... Ale zapominasz, że jesteś w moim domu, i że póki ja wychowywać cię będę, będziesz myślała tak, jak ja chcę.

HELA. Mamo! — (*pauza — miękko*). — Mamo — nie mów tak do mnie... (*całuje ją w rękę*). Nie mów dzisiaj... No, uśmiechnij się! Już nie nie powiem takiego, co ci się nie podoba, ani na pana Czopowicza, ani na kogośkolwiek... Zresztą — cóż nas obchodzi pan Czopowicz?... Dlaczego ten obcy ma wywołać między nami jakiegokolwiek nieporozumienie... (*tuli się do niej tkliwie*). Przecież my dwie, to jedno...

P. ANIELA (*z roztargnieniem*). Tak, tak — (*całuje ją lekko w głowę*).

HELA (*j. w.*) Moja Matuchna... (*sadza ją na krześle, sama klękając u jej nóg — patrzy jej w oczy*). Cóż? — nie gniewa się już? nie gniewa? No, matenka, popatrz mi w oczy i pocałuj... Przecież to mój dzień dzisiaj... (*nagle ściskając ją namiętnie*). Nie — mój dzień jest zawsze... mój z tobą... och, jak ja cię kocham, mamo!...

P. ANIELA (*z łagodną wymówką*). I dlatego zatruwasz mi życie...

HELA (*j. w.*) Nie, nie mamo, przecież ty tak nie myślisz... nie mów tego. — Widzisz, zawsze, gdy mówisz coś takiego, to mnie coś tutaj tak zboli. — My się przecież kochamy tak bardzo — my się rozumiemy zawsze — prawda? Ja z tobą i ty ze mną? Zawsze razem!

P. ANIELA (*z uśmiechem — zakłopotana*). Zawsze? A gdyby tak znalazł się między nami ktoś trzeci...

HELA (*gwałtownie*). Nie! nie! nie! jaki trzeci! Poco trzeci? Jak to rozumiesz, mamo?

P. ANIELA (*j. w.*) No — gdyby na przykład... (*nie mogąc się odważyć powiedzieć jej prawdę*) gdybyś... gdybyś ty wyszła za mąż?

HELA (*śmieje się*). Ja? Ja za mąż? Ależ mateczko, co ci w głowie? Ja przecież... ja przecież nie mam jeszcze 19 lat!

P. ANIELA. Ja w twoim wieku byłam już oddawna za mężem.

HELA (*śmiejąc się ciągle — żartobliwie*). Któż widział dzieci wydawać za mąż? A kto mi zawsze każe być dzieckiem — co? (*całuje ją po rękach*). Jak tylko mówię cośkolwiek — (*naśladując głos matki*). Milcz! dziecko jesteś! A tu naraz ni stąd ni z owąd za mąż! (*śmiejąc się mocniej*). Ja — za mąż? Oj ty ty moja mała mateczko! (*nagle wybucha niepowstrzymanym już śmiechem*). Wiem już! Chcesz mnie wydać za pana Czopowicza! Hahaha!

P. ANIELA (*wstaje nagle, dotknięta, śmieje się z przymusem*).

HELA (*ciągle — j. w.*) Przyznaj się mamusiu, że ty go tak dlatego adorujesz. — Pielegnujesz go dla mnie na męża... (*parska śmiechem*). Hahaha! — a toby było paradne! Ha, ha, ha!!

P. ANIELA (*surowo*). Dosyć już tego! — No — przestańże się śmiać nareszcie! Twoje żarty stają się już niesmaczne.

HELA. Czy cię znów czem uraziłam, matuchno? — Przepraszam (*całuje ją w rękę — znów się śmieje — ale już ciszej, nie mogąc wstrzymać się tak odrazu*). Ale do prawdy, ten pomysł wydał mi się tak komicznym.

P. ANIELA. Powiedziałam już — dosyć! Ty we wszystkim jesteś taka niepohamowana! Jak wicher! Gwałtowna i szalona!

HELA (*wstając, wyciąga ręce z uśmiechem, patrząc przed siebie*). Cóż robić? Taka już jestem!

P. ANIELA (*podrażniona*). To źle! Trzeba się hamować! W życiu nie potrzeba wicher — ale...

HELA (*przekornie, z radosną i młodą ochotą*). A ja jestem właśnie wichura! Czasem mi się zdaje, że mam w sobie jakiś wielki, okropnie wielki młot! Chciałabym zdruzgotać nim wszystko, co mi stoi na drodze! a sama lecieć gdzieś, lecieć — z końca świata w drugi — nie! dalej! za świat, gdzieś! między gwiazdy! Tam się musi oddychać szeroko!... Aaah! — (*nagle zwraca się do matki i całuje jej ręce*). Ale z tobą, matuchno, z tobą... ty moja jedyna, ty, ty, ty!

P. ANIELA. Daj mi pokój. — Puść mnie — spieszo mi...

HELA (*zmrożona*).

P. ANIELA. Nie lubię, gdy mówisz w ten sposób — widzę w tem wiele egoizmu i to mi się nie podoba. Gdybyś się wychowywała w tak ciężkich warunkach jak ja, nie miałabyś tyle śmiałej buty... Tobie było zawsze za dobrze i dlatego... Ja ciebie nieraz nie pojmuję a przecież nie jestem tak stara, abym nie rozumiała młodocianych porywów ale ty jesteś taka jakaś — nierówna, a przy tem taka... egzaltowana. Ja — boję się o ciebie (*zatrzymując się w drodze*). A przytem, dawno miałam ci to już powiedzieć — Twoje pieszczoty mają teraz w sobie coś — coś, co mnie odpycha raczej, niż przyciąga.

HELA (*zdziwiona i przerażona*). Mamo!...

P. ANIELA. Dajesz mi w nich uczuć jakby pobłażanie, czy wyższość swoją...

HELA (*j. w.*) Mamo...

P. ANIELA. Zresztą, nie wiem, jakby to powiedzieć, ale — to nie to, co było dawniej.

HELA (*patrząc na nią uparcie, zamyślona — powoli*). Nie to, co dawniej... (*przerażona, odpędzając złe myśli od siebie*). Ah!... nie, nie, nie!... ah nie! (*pieszcząc ją*). Prawda, że nie... (*natrętnie*) nie, prawda? tyś tego powiedzieć nie chciała?... bo toby było... (*patrząc przed siebie*) toby było takie... (*nagle*). Ah, mateczko,

nie mów tak — nie mów tak nigdy!... (*ciszej i łagodniej*). Nie mów dzisiaj.

P. ANIELA (*całując ją*). No nie, nie, nie, masz słuszość — dziś twój dzień... nie chcę ci robić wymówek — No, puść mnie — idę zrobić oranżady dla pana Czopowicza... (*idzie ku drzwiom z lewej — woła*). Ludka! Czyś zapomniała? Widzisz, sama teraz muszę. — (*Głos jej ginie, wychodzi na lewo*).

SCENA 6.

HELA sama — później WŁADYSŁAW.

HELA (*stoi chwilę oparta ręką o stół, zamyślona chmurnie — po chwili oddycha ciężko i przesuwa ręką po czole*).

WŁADYSŁAW (*wchodzi, widząc ją zamyśloną, podchodzi cicho do niej, nagle tuż za jej uchem — wesoło zaglądając jej w oczy*). O czym?

HELA. A! to ty! (*podaje mu rękę*). Jak się masz?

WŁADYSŁAW (*ściskając jej rękę serdecznie*). — Przyszedłem ci powinszować!

HELA. Dziękuję.

WŁADYSŁAW. Czegóż ci życzyć?

HELA. Życz mi — życz mi — żebym była... mniej szczęśliwą, niż jestem, (*żywiej*) bo jest mi tak dobrze — za dobrze nawet i doprawdy — doprawdy boję się, aby mnie ten zbytek szczęścia nie zabił — (*śmieje się nie-szczerze i przesuwa znów ręką po czole*).

WŁADYSŁAW. Co ci jest, Helu?

HELA (*podchodzi do werandy*). Nic... głowa mnie boli... (*po chwili patrząc w ogród*). Czy nie uważasz, że się ma na burzę?

WŁADYSŁAW (*zdejmując rękawiczki*). Nie — co znowu. Niebo takie jasne, nie ma ani jednej chmurki....

HELA. To dziwne... a ja mam takie uczucie, jakby miała być burza... *(ciszej, zapatrzona w siebie)*. Albo jakby się miało stać coś... *(nagle, roześmiewszy się z przymusem)*. Ale nie się stać nie może... prawda? Tylko ja... Muszę być trochę zdenerwowana, *(przechodzi na prawo i siada w fotelu)*.

WŁADYSŁAW *(siadając przy stoliku z lewej i przerzucając książki)*. To źle, egzaltujesz się z byle powodu.

HELA *(po chwili)*. Czytałeś Garborga „Znużone dusze?”

WŁADYSŁAW. Czytałem.

HELA. Znakomita rzecz, prawda?

WŁADYSŁAW. Czytujesz takie rzeczy?

HELA. Dlaczegożby nie?

WŁADYSŁAW. Hm...

HELA. To nie dla „dzieci” — co? ani dla młodych panien, co na jedno wychodzi.

WŁADYSŁAW. No —

HELA. Cóż chcesz? Mama zawsze każe mi być dzieckiem...

. Powiada, że im dłużej niem będę, tem lepiej dla mnie.

WŁADYSŁAW. Widzisz, Helu, ona ma rację.

HELA *(wstając nagle i stając przed nim)*. Cóż mam jednak zrobić, skoro już niem nie jestem?

WŁADYSŁAW. No, czy ja wiem? Starać się niem być, skoro to matce twojej sprawia przyjemność.

HELA. Mam zatem udawać? Co? Ależ ja się brzydzę fałszem! Ja nie jestem już dzieckiem! Cóż robić? Jestem dziewczyną młodą, prostą i czystą! No — i wiem o tem! Wprawdzie ładniej byłoby może nie wiedzieć o tem, no — ale skoro już wiem... Nie widzę powodu, dla którego bym miała się z tem ukrywać — lub udawać cośkolwiek. Sądzę — że w każdym razie gorsza od wszystkiego jest hipokryzja! A! ty nie wiesz, ty nie przypuszczasz nawet, Władku, jak my, dziewczęta, umiemy udawać!

WŁADYSŁAW. Słuchajno, Hela, czy mama wie o tem, że...

HELA. Hm... (*śmiejąc się gorzko*). Nie — mamy nigdy nie wiedzą — nie wiesz to? one zawsze o wszystkim dowiadują się ostatecznie! Ba! one o niczem wiedzieć nie chcą!

WŁADYSŁAW. Ale czyś pomyślała Hela, że takie rzeczy bolą?

HELA (*ponuro*). To też widzisz, że my... my nietylko umiemy, my musimy klamać! Uczą nas tego od dziecka! A jak dobrze! Tę naukę pojąć nam najłatwiej!

WŁADYSŁAW. Jesteś dziś zdenerwowana — Hm — szkoda — a ja chciałem... Mniejsza — przyjdę innym razem... oczekujesz kogo?

HELA (*z gryzącą ironią*). Tak, przyjdą jeszcze trzy takie jak ja „młode panienki z towarzystwa“. Możebyś zrejterował, póki czas?

WŁADYSŁAW. Co znowu!

HELA (*j. w.*) A! Może je zechcesz studyować? (*rzuca się w fotel i kołysze*) Daj pokój! Szkoda zachodu! Wszystkie są takie, za jakie chcą uchodzić. Dobrze wytresowane. Lepiej odemnie. (*nagle, innym tonem*) Ile ty masz lat, Wladek?

WŁADYSŁAW (*zdziewiony*). 26.

HELA. A kiedyś zaczął żyć życiem — swoim własnym — myśleć swoją myślą?

WŁADYSŁAW. O, to zupełnie co innego (*siada*).

HELA (*wybuchając śmiechem*). Hahaha! (*nagle poważnie — po chwili*). Jacy wy jesteście szczęśliwi, wy — mężczyźni!

WŁADYSŁAW. Nie! — dlaczego? Nierozumiem.

HELA (*patrząc przed siebie*). Wy możecie być zawsze sobą, podczas gdy my.... oh! (*ze wstrętem zastania sobie oczy rękami*).

WŁADYSŁAW (*wstaje i chodzi po pokoju po chwili*). Widzisz, Hela, ty bo bierzesz wszystko ze strony tragicznej — a ja nie umiem pocieszać — ani uczyć. —

Przegadaliśmy przecież niejedną godzinę, a ja cię nie znam dobrze. Czasami zdaje mi się, że rozmawiam z osobą doświadczoną i zlaną życiem, a ty przecie....

HELA. A ja przecież nie mam jeszcze 19 lat... Cóż chcesz? My teraz dojrzewamy prędko — My — dzieci — Zbyt prędko i nagle według mniemania rodziców — którzy nie chcą zrozumieć tego... I wtedy tworzy się między nami a nimi taka przepaść... (*po chwili*). Doświadczoną — hm — Czy ty myślisz, że doświadczenie dopiero robi ludzi? (*żywiej*). Nie! ono ich raczej zabija! Życie szare, małe, codzienne — zabija w nich wszystkie piękne i gorące porywy... A oni, ci doświadczeni, utraciwszy wszystkie po drodze swojej, usiłują i nam je potem odebrać... Zwalczają je w nas, tłumia, codziennie, co godzina...

WŁADYSŁAW. Helu — i znów się egzaltujesz. To byłoby wszystko bardzo piękne, gdyby nie było w tem goryczy. Gorycz, to brzydka rzecz, Helu i niewłaściwa młodości...

HELA (*nagle śmieje się nieszczerze*). Hahaha! Masz słuszość — Władku, jestem dziś nastrojona na ton zbyt tragiczny. Hahaha! — Jeszcze tego brakuje, abym się zaczęła skarżyć przed tobą... Cóż chcesz? Sprzykrzył się już typ... „une femme incomprise“ — ja rozpocznę cykl nowy — „une fille incomprise“ — to będzie oryginalnie! co? A ty — hahaha! ty będziesz przyjacielem domu!

WŁADYSŁAW. Hela! daj pokój — przykro mi słyszeć cię mówiącą w ten sposób.

HELA. A! Taka dziś jestem zdenerwowana — nie mówmy już o tem! Chcę być dziś wesolą. — Wszak dziś mój dzień! (*wybiega na werandę — do wchodzących na werandę dziewcząt*). A! Otóż i goście! Jak się macie, moje drogie!

SCENA 7.

CIŻ — MARYA — ELŻBIETA — ANNA — *(wszystkie win-
szują Heli, całując ją przytem po wiele razy)*.

HELA. Życzcie mi ładnego i głupiego męża z brodą w szpic
i podłużnemi, melancholijnemi czyma... Wszak to ideał
wszystkich panien... *(wchodzą do pokoju)*.

MARYA *(sentymentalna i leniwa, całując ją)*. Dlaczego nie
mówisz tego, co myślisz? Życzę ci szczęścia! *(siada na
fotelu bujającym, przywitawszy się z Władkiem uści-
skiem ręki)*.

ELŻBIETA *(żywa i nerwowa, z czarnymi krótkimi lokami)*.
Oszalałaś! To tak, jakbyś ją chciała ubrać w perły
rosy! *(całując Helę)* Ja ci życzę, abyś — umiała żyć
pełnem życiem! Żyć! kochać! szaleć! *(udając, że teraz
dopiero spostrzegła Władka)*. A, to pan! *(podaje mu
rękę żywym ruchem)* A dlaczego tak dawno nie poka-
zał się pan u nas? *(rozmawiają po cichu, ona kokie-
tuje go)*.

ANNA *(sentymentalna, z długim blond warkoczem „Gretchen-
frizur“, rozmawia tymczasem z Helą; całując ją)*. Speł-
nienia wszystkich marzeń.

HELA *(j. w. — ciągle z gorączkową wesołością)*. Dziękuję,
dziękuję — siadajcież.... *(Anna siada przy stoliku,
Władek i Elżbieta na boku z lewej)*. Cóż się stało, że
tak wszystkie razem?

MARYA. Umówiliśmy się, że się sejdziemy u Annie.

ANNA. Chciałyśmy cię napaść wszystkie razem. Gdzież
Ludka?

HELA. Zaraz jej zawołam *(patrzy na Władka i Elżbietę,
którzy tak zajęci są sobą, że nie widzą tamtych)*. Władku,
nie przywitałeś się z Anią.

WŁADYSŁAW. A? Przepraszam... *(wita się z nią, wszyscy
siadają prócz Heli)*.

ELŻBIETA (*która siedzi z lewej sama*). Słuchaj Hal, a zaprosiłaś ty jakich chłopców? Bo zabawa bez chłopców, to doprawdy... (*z grymasem*).

HELA (*patrząc na nią*). Miał przyjść pan Daszowski, ale nie wiem...

ELŻBIETA. Czy to ten pan Daszowski, co to... Ach, takbym chciała go poznać... (*z zalotnem spojrzeniem w stronę Władka*). Dziwna rzecz, jak to trudno bawić się dobrze samym... bodaj kawałek mężczyzny, a już zabawa idzie inaczej.

ANNA. Wstydź się, Ely, doprawdy, stajesz się niemożliwa... Pan Władysław gotów Bóg wie co myśleć o nas...

WŁADYSŁAW. Ależ zapewniam panią...

ANNA (*z sentymentalnem spojrzeniem*). Co do mnie, nie lubię towarzystwa i zabaw. Kocham samotność — jestem marzycielką...

MARYA. Ach doprawdy, jakieście wy wszystkie nudne — i zawsze jednakowe. — Wszystko jest nudne — ah! (*z grymasem niesmaku zasuwa się głębiej w fotel i huśta się powoli*).

HELA (*która patrzyła się to na jedną to na drugą, usposobiona dla nich coraz krytyczniej, — zamyśla się — pauza, podczas której Władek rozmawia z Anną i Elżbietą. Nagle ze sztuczną weselością, odganiając od siebie złe myśli*). Słuchajcie! A możebyśmy zagrali w co? W krokieta, albo w tennisa?

ELŻBIETA (*zrywając się*). Brawo! Niech żyje tenis!

ANNA. (*wstając*). Z ochotą, jeżeli sobie tego życzysz!

HELA. A ty, Maryniu?

MARYA. Ach, tam tak gorąco — ale naturalnie, skoro tego pragniesz! (*wstaje z westchnieniem*). To możeby już lepiej w krokieta? Mniej męczący...

ELŻBIETA. Wszystko jedno! Chodźcie! (*w drzwiach spotykają Daszowskiego*). A!

SCENA 8.

CIŻ — DASZOWSKI.

DASZOWSKI. Moje uszanowanie... (*chce pocałować Helenę w rękę*). Pozwoli pani, że jej powinszuję...

HELA (*zmieszana i zdziwiona*). Ależ...

DASZOWSKI. To hold należy solenizantce... (*całuje ją w rękę, cicho, zatrzymując jej rękę*). Niech pani będzie taka, jaka jest — oto moje życzenia.

HELA (*wysuwa z jego dłoni rękę — z lekkim niesmakiem — z przymusem*). Dziękuję panu... Ale pozwoli pan, że go przedstawię moim przyjaciółkom... Pan Daszowski — nasz znajomy z Abbazyi. — Moje przyjaciółki, (*z lekką ironią*) Ely, Annie i Mary — (*wszystkie trzy kłaniają się każda na swój sposób, Daszowski każdej z osobna*) Mamy zamiar zagrać w krokieta. Pan z nami?

DASZOWSKI. Ależ naturalnie — (*wychodzą oboje naprzód, rozmawiając*).

HELA (*na werandzie*). Dziwna rzecz — ani jednej chmurki, a ja jednak mam takie uczucie, jakie się ma przed burzą.

ANNA i MARYA (*idą za niemi*).

ANNA (*cicho do Maryi*). Przystojny. (*z odcieniem zazdrości*). Jakże ta Hela ma jednak szczęście!

MARYA (*wskazując oczyma Władka*). A ten... I żeby choć była ładna... (*wychodzą*).

ELŻBIETA (*wychodzi — przy drzwiach zatrzymuje się*). Panie Władysławie...

WŁADYSŁAW. Służę pani.

ELŻBIETA. Proszę mi podać ramię.

WŁADYSŁAW (*podając jej ramię*). Z rozkoszą!...

ELŻBIETA (*patrząc mu w oczy*). Czy doprawdy?... (*opierając się na nim*). Bo czasem to mam takie wrażenie, jakgdyby się pan mnie troszkę — obawiał?...

WŁADYSŁAW. O (*wychodzą*).

SCENA 9.

TADZIK — LUDKA

(po chwili z ogrodu ostrożnie wchodzi Tadzik, oglądając się na wszystkie strony i ukrywając coś pod mundurem. Jest to student, lat 18, bardzo wysoki i szczupły, z wąskimi ramionami, twarz inteligentna i wrażliwa, choć jeszcze zupełnie dziecinna, bez śladu zarostu. Włosy sterczące szczotką w górę. Jest zawsze mrukliwy, zgryźliwy i szydarczy, czasem przygryza usta lub paznokcie, albo przystania powiekiem oczy, jakby chciał zdusić w sobie pytanie jakieś, lub ukryć niepokój. Chwilami niepewny, o spojrzeniu prawie dziecka. Cała jego postać nosi na sobie jakby piętno jakiegoś chorobliwego tragizmu, ukrytego pod płaszczykiem ciągłej ironii. Ma na sobie mundur gimnazjalisty, z czterema złotymi paskami na kołnierzu. Przechodzi na palcach przez pokój, a nie widząc nikogo, puka lekko do drzwi z lewej).

LUDKA *(za sceną)*. Kto tam? Proszę! *(wychodząc)*. A, Tadzik... cóż masz taką minę, jakbyś... Aha! *(robi dymśną minę — chichocze)*.

TADZIK *(patrzy na nią chmurnie)*. Jest Hela?

LUDKA *(j. w.)*. Jest... tam... *(wskazuje na ogród)*. Jest u niej Ely, Mary i Annie.

TADZIK *(z pogardliwą miną)*. A — te...

LUDKA *(j. w. — ironicznie)*. Te „nieopierzone gęsi“ — co? Przecież je zawsze tak nazywasz.

TADZIK. ... To ja później... *(zabiera się do odejścia)* albo jutro —

LUDKA. Jakto? Nie powinszujesz Heli?

TADZIK *(odwraca się i patrzy na nią chwilę pogardliwie przez ramię, potem znów zwraca się do odejścia)*.

LUDKA. „Nieopierzona gęś“ — hm!? No powiedz, powiedz, nie żenuj się *(po chwili, gdy Tadzik jest już u wyjścia)*. Możesz przyjść wieczór — one nie będą siedziały tak

dlugo. *(z ironią)* A cóż matura? Ach! no! zdasz i tak! naturalnie! Pocóżbyś się miał uczyć? Ty — taki geniusz!

TADZIK *(kiwa głową i chce odejść)*.

LUDKA Co? Odechodzisz? Nie wyrzuciwszy z siebie kilku jędrno-życiowych zwrotów, coby aż „w łeb waliły“? Nie zaimponujesz mi nawet słowami któregoś z filozofów? Co ci jest dzisiaj? Chowasz się dla Heli? *(biegnie do niego nagle, żywo)*. Tadzik — daj mi tę książkę — ja jej oddam.

TADZIK. Jaką książkę?

LUDKA. No, no — tylko nie udawaj — ja wiem wszystko — no, daj, mój Tadziku — *(chwytając go za ramię)*.

TADZIK *(patrząc na nią łagodniej)*. Oj, Ludka, Ludka, jakas ty jednak jeszcze głupia...

LUDKA. No, no. Tyś jeszcze głupszy, tylko inaczej. *(czepiając się go obiema rękami, tajemniczo)* Tadzik! czy ty ją bardzo kochasz?

TADZIK. Kogo?

LUDKA. No — Hele — Mój złoty, jedyny, powiedz mi, no powiedz, ja nikomu, jak mamę najszczerzej...

TADZIK *(odtrącając ją nagle)*. Idź precz! *(patrzy na nią chwilę z pogardą, potem obciera pomatłu rękaw munduru)*. Powalasz mnie...

LUDKA *(obrażona)* Bardzo przepraszam. Dopiero co myłam ręce, o! *(pokazuje)*.

TADZIK. Zawsze to samo... *(z obrzydzeniem i pogardą)* Mm!... *(wychodzi)*.

LUDKA *(patrzy za nim chwilę, potem szepce, wydrzeżniając mu się)*. He — filozof *(potem bez troski biegnie do ogrodu — i stamtąd słychać jej wesoły głos, wołający)*. Czekaście! I ja chcę należeć do party!

SCENA 10.

P. ANIELA — CZOPOWICZ (*wchodzą przez werandę*).

P. ANIELA (*mówiąc jeszcze w ogrodzie*). Proszę pana — proszę — schronimy się tutaj — (*już na werandzie*). Te dzieciaki tak krzyczą, że doprawdy zrozumieć się trudno (*w pokoju, wskazując mu krzesło, z melancholijnym uśmiechem*). Cóż robić? Czas nam już ustąpić miejsca młodości...

CZOPOWICZ. I pani mówi o czasie? Nie! to doprawdy bluźnierstwo! za które należy się kara... natychemnia-stowa... (*sięga po jej rękę*).

P. ANIELA. Ależ...

CZOPOWICZ (*całując jej rękę i zatrzymując ją, z westchnieniem*). Ah! chciałbym tak karać wiecznie! Co to za rączka!

P. ANIELA (*oglądając się niespokojnie*). Ah nie, proszę pana!

CZOPOWICZ. Jaka pani trwożliwa! Jesteśmy przecie sami!...

P. ANIELA (*j. w.*). Nigdy nie można być pewnym. — — Czy wie pan, że Ludka — ta mała, podpatrzyła nas wczoraj w altanie...

CZOPOWICZ. No, więc cóż w tem złego? Raz przecie muszą się dowiedzieć... (*nagłaco*). I znów powtórzę wieczną piosnkę swoją: — Kiedyż? I powtarzać ją będę do znudzenia: — kiedyż — kiedyż?

P. ANIELA (*zmięszana*). Doprawdy, tak mi trudno... Gdyby pan wiedział, jaki między nami stosunek... one mnie tak kochają... są o mnie zazdrosne...

CZOPOWICZ (*czule*). A ja? Czyż pani nie kocham? Czy nie jestem zazdrosny? (*przysuwając się bliżej*). Zazdrosny i niecierpliwy...

P. ANIELA. Usiądźmy i porozmawiajmy spokojnie... (*siedząc*). Widzi pan... Ja bardzo cenię przyjaźń pańską...

CZOPOWICZ (*z wyrzutem*). Przyjaźń?

P. ANIELA. I może... może ja nawet odwzajemniam, ale...

CZOPOWICZ (*całując ją w rękę*). Królowo moja! Ale co?

P. ANIELA. Ja... ja, widzi pan, mam dorastające córki — czasem... — czasem myślę, czy ja mogę.... czy ja mam prawo — — — no mój Boże, czy ja mam prawo zaczynać z panem życie na nowo — czy ja mam prawo żyć jeszcze dla siebie.... (*ciszej*) i dla pana, skoro...

CZOPOWICZ. Ależ to są przesadzone skrupuły... któż nie ma prawa być szczęśliwym? A gdyby żył mąż pani?

P. ANIELA (*żywo*). To zupełnie co innego... Gdyby był żył, byłby to 20 rok wspólnego naszego pożycia małżeńskiego — gdy tymczasem teraz... (*zmięszana*). No mój Boże — nie każ mi pan mówić rzeczy, które...

CZOPOWICZ. A jednak — powtarzam, to egzaltacya — — czyżeś im pani nie poświęciła najpiękniejszych lat swego życia? Wychowywałaś je z zaparciem się i poświęceniem...

P. ANIELA (*z westchnieniem*). O tak! Gdyby pan wiedział, jak trudne są do wychowania... Szczególniej Hela... Boję się, że odziedziczyła gwałtowny i nieposkromiony charakter ojca — — Ta myśl prześladowuje mnie ciągle...

CZOPOWICZ. Ileż lat ma panna Hela?

P. ANIELA. 18... Dojrzeła tak nagle i tak — doprawdy, nieraz wybuchy jej przerażają mnie...

CZOPOWICZ. Widzi pani, tembardziej potrzebuje mnie pani. (*bierze jej rękę*) Będziemy wychowywali je razem — —

P. ANIELA (*jakby uderzona tą myślą*). A!... Więc pan mówi, że —

CZOPOWICZ. Naturalnie, będę ich ojcem, dobrym, kochającym ojcem.

P. ANIELA (*po chwili*). Proszę — niech mi pan zostawi jeszcze czas do namysłu — — Muszę się nad tem zastanowić.

CZOPOWICZ. Ale nie dłużej, niż do wieczora — — Postanowiłem sobie, że się to dziś stanie... Nie odejdę stąd bez słowa pani...

P. ANIELA. Niechże i tak będzie — — A więc — do wieczora. Tymczasem muszę się starać pomówić z dziećmi, z Helą.

CZOPOWICZ. Tak, tak —

P. ANIELA. Nie uwierzy pan, jak mi to ciężko przyjdzie.

CZOPOWICZ. Ja ją tu pani przysłę. No, no, odwagi! (*całuje ją w rękę, ciszej*). Najdroższa! (*wychodzi*).

SCENA 11.

P. ANIELA (*sama — potem*) HELA.

P. ANIELA (*chodzi chwilę po pokoju z założonemi rękami — staje na froncie z prawej, zamyślona. Wśród tej sceny zmrok zapada pomaleńku*).

HELA (*wchodzi trwożna i niepewna — cicho*). Wołałaś mnie, mamó?

P. ANIELA (*drgnęła*). A — (*łagodnie i niepewnie*). Tak — chciałam z tobą pomówić.

HELA (*j. w. — z nieśmiałą radością i zdziwieniem*). Mama — ze mną?

P. ANIELA (*nie wiedząc, jak zacząć*). Widzisz, moje dziecko — — (*po chwili*). Albo nie, chodź tutaj, usiądź koło mnie, pogawędzimy sobie tak, jak dawniej, kiedy Helunia była malutka i ciągle o coś wypytywała swoją udręczoną matusię — (*siada po lewej*).

HELA. O! (*z radością siada u nóg jej na tabureciku — całując rękę matki, nieśmiało*). Chciałabyś mamó... chciałabyś naprawdę?... O! jak to miło... (*opiera głowę na kolanach matki i przymyka oczy, cicho*). Ach — matuchno droga, gdybyś wiedziała, jak dawno tęsknię

do tego... Bo widzisz, matusiu... ja teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję twego ciepłego słowa — Wiesz — nieraz, gdy siedzę sama — i myślę nad wieloma rzeczami — to mi się wszystko wydaje — takie dziwne — i trudne do zrozumienia — ja wielu rzeczy nie rozumiem, mamó — I takbym chciała, takbym bardzo chciała spytać o to kogoś — coby był odemnie nieskończenie rozumniejszy i lepszy — (*p. Aniela pochyla się i całuje ją we włosy*). Wiesz, mamó — czasem myślę... żem przyszła na świat przed chwilą... Patrzę na świat otwartymi oczyma i tak wszystkiemu dziwię — tak się — dziwię — Patrzę na coś — jakbym to pierwszy raz spostrzegła i myślę: „Więc to jest tak? Więc to jest naprawdę tak?“ (*podniosła głowę i patrzy z uwagą przed siebie — po chwili chwytając za rękę i nie odwracając głowy*). Powiedz mi, mamó, dlaczego zawsze wtedy, gdy to pomyślę, jest mi tak smutno, tak żal czegoś, tak niewypowiedzianie żal...

P. ANIELA (*cicho, głaszcząc ją*). Egzaltowana główko...

HELA. Są chwile, gdy czuję, wyraźnie czuję, jak coś leci — leci w jakąś ciemną, nieznana dal... jakby odemnie uciekało, a na miejscu tego czegoś widzę rzecz jakąś inną, której widok drażni mnie i wprost boli — — (*po chwili*). Wiesz mamó — — Dziś patrzyłam na moje przyjaciółki tak, jakgdybym je widziała po raz pierwszy w życiu... Takie mi się wydały... (*wstrząsa głową*). Czuję, że ich nie lubię, czuję, że ich już nie mogę lubić... Mamó — czy to nie jest straszne, że ja coraz mniej osób lubię? — Ja się tego boję... (*tuli się do niej*).

P. ANIELA. Nie trzeba myśleć o tem — —

HELA. Kiedy muszę myśleć, muszę — — Myślę zawsze o tem, co mi sprawia największą przykrość lub największy niepokój... Dlaczego tak jest mamó? Dlaczego jest to wszystko?... Dlaczego jest tak, jak jest?...

P. ANIELA. Rośniesz, rozwijasz się, dojrzewasz.

HELA (*zamysła się*). Tak... Czy i z tobą tak samo było, mamó?

P. ANIELA (*niepewnie*). Tak... Ale widzisz, ja chciałam teraz...

HELA. Bo ja mam takie uczucie, że to tylko *ja* czuję, że to tylko ja czuć mogę... Czy ty tego także doświadczałaś, mamó?

P. ANIELA. Ależ tak...

HELA. To dziwne... Takie dziwne, jak wszystko, co mnie otacza.

P. ANIELA. Ale widzisz, Helu — ja chciałam mówić z tobą o czym innym.

HELA. Słucham cię, mamó!

P. ANIELA. Czy ci nie przyszło nigdy na myśl, że... Wiesz, dziecko, nie trzeba być samolubną... Ty ciągle tylko mówisz o sobie a...

HELA. Tak — prawda. Żem też tego nie zauważyła.

P. ANIELA. A przecież dokoła ciebie są inni — obejrzyj się tylko. Inni, mający też prawa do czegoś!

HELA. Ludka, tak, to prawda... Myślę czasem o niej.

P. ANIELA. Trzeba, żebyś myślała o niej częściej. O niej, o mnie. — Czy wiesz na przykład, że bywasz dla mnie często przykrą, Helu?

HELA. Ja?

P. ANIELA. Tak — ale nie chcę ci teraz robić wyrzutów. Chcę tylko, abys raz zajrzała w życie i myśli cudze!... Swojami ciągle zajmować się nie można... Ten, co tak zasklepi się w sobie, popelnia winę wobec innych. Nikt z nas nie żyje dla siebie — wszyscy żyjemy dla drugih. Ja na przykład...

HELA. Tak, być może, że to źle... Ale w takim razie, życie jest jeszcze trudniejsze, niż myślałam... Człowiek ma tyle obowiązków względem siebie, a tu jeszcze względem innych?... Samej z sobą trudno mi sobie dać radę, a tu — znowu... Więc naucz mnie mamó, jaką mam być, co czuć, co myśleć.

P. ANIELA. Widzisz, moje dziecko — życie nie jest pasmem poetycznych uniesień i bezowocnych wyczuwań czegoś nadprzyrodzonego — ale ciężkiej pracy i rozczarowań i bólów. — A przedewszystkiem ciągłych starań o nasze własne, względne, spokojne szczęście...

HELA. Szczęście! No tak, naturalnie. — Szczęście. — Myślę jednak, że jest tyle rodzajów szczęścia i pojęć o niem, ile ludzi...

P. ANIELA. Bezwątpienia... ale ja widzisz, która znam życie lepiej od ciebie i więcej mam doświadczenia, większe mam prawo do wybierania ci rodzaju szczęścia, niż ty sama... Są ludzie, którzy życie całe, to piękne, długie, od Boga dane życie, marnują na takie ciągłe walki z sobą i drugimi, jakie ty teraz przechodzisz... Ci umierają, nie zaznawszy spokoju... Takim był i twój ojciec.

HELA. Mój ojciec —?

P. ANIELA. Tak... Był to człowiek bezsprzecznie dobry i szlachetny, ale — nierówny. Mógł być żyć cicho dla szczęścia swego i rodziny... a utracił je wraz z życiem w walce dla szczęścia drugih, którego nie udało mu się zbudować! — Nie zdobył sobie nawet dobrej u ludzi pamięci. — Nazywają go wszędzie „utopistą“ i mają przytem ironiczny uśmiech na twarzy... A co zrobił z życiem? Zmarnował je na szukaniu gruszek na wierzbie...

HELA. Oskarżasz go, mamó?

P. ANIELA (*żywiej*). Tak, oskarżam go, bo źle użył życia...
Gdzież skutki jego działalności?

HELA (*patrząc na nią poważnie*). A może to nie jego wina, że nie zbudował.

P. ANIELA. Czyjaż więc? (*patrzę na siebie*).

HELA. Tych wszystkich, co go nie zrozumieli i nie poszli za nim.

P. ANIELA. Co?

HELA (*j. w.*) Tak myślę... nie — wiem to prawie napewno... (*żywiej*). I gdybym mogła, gdybym umiała, poszłabym jego drogą...

P. ANIELA. Zabiłabyś swoje szczęście, tak, jak on je zabił.

HELA (*namiętnie*). A! Co mi tam! Ja nie chcę tego szczęścia, jakie daje gnuśność sumienia i sen duszy! Ja chcę walki i czynu... chcę szerokiej i bujnej myśli! — To, co wy nazywacie szczęściem, to nie jest szczęście — to gnicie!

P. ANIELA (*z wybuchem*). Hela! (*po chwili blada z gniewu cicho*). Nie wiesz chyba co mówisz... zapominasz się...

HELA (*ochłonawszy, z trwogą*). Wybacz mi, mamó... ale ja cię nie rozumiem... ja boję się rozumieć cię. — To tak wygląda, jakgdybyś — jakgdybyś i ty — nie, nie! Przecież ja cię tak kocham, przecież ja ci tak ufam — tyś dobra i wyższa ponad wszystkich — — (*patrzy jej w oczy niespokojnie*).

P. ANIELA. A zawsze te wielkie słowa! Nieodrodna córka swego ojca!... rycerza z Manszy — całe życie takie! Całe życie! (*żywiej*). Ale wiedz, że ta donkiszoterya sprzykrzyła mi się i że już jej dłużej nie zniosę! (*chodzi wzburzona po pokoju*). Ja w tej walce z wiatrakami nie myślę już dłużej tracić sił i czasu. — Ojciec twój zatruł mi życie — i raz nareszcie chciałabym odpocząć. A tu znowu walki i szarpania się z tobą... Ja nie wiem, czego ty chcesz odemnie, ja cię nie rozumiem... Oj Hela, Hela, nie darmo ja tak boję się o ciebie! Ty źle skończysz... Z takim usposobieniem jak twoje, nie można być szczęśliwą, pamiętaj!... No siądź tutaj, przy mnie — tak — (*siadając*). Przecież ja cię bardzo kocham i dlatego właśnie twoje nieokiełznane usposobienie sprawia mi tyle zmartwienia — (*głaszcze ją po twarzy*). Widzisz — ja właśnie chciałam ci powiedzieć — —

HELA (*staje się znowu dzieckiem, obejmuje ją obu rękami i nagle wybucha płaczem; tuli się do niej namiętnie, przez łzy*). O tak, mamó, tak. Przytul mnie do siebie,

bo mnie jest czasem tak straszno i źle, i tak nie wiem, gdzie moja droga — — Ja — ja nie chcę innego szczęścia nad to, które odczuwam teraz. — Kiedy mama tak mówi do mnie i gdy tak mogę przytulić się do niej, to mi już wtedy nie do szczęścia nie potrzeba — (*placząc, całuje jej twarz i ręce*).

P. ANIELA. Tak — i ja cię wtedy wolę, kiedy jesteś znowu dzieckiem. — Tyś młoda i gorąca — ja wiem — łatwo się unosisz... ale ty się poprawisz, prawda? Ja wiem, tyś tak źle nie myślała... Widzisz — życie jest twarde i surowe — ale trzeba je brać takim, jakie jest — (*pochwili*). Hm... Filozofowanie... zgłębianie tajników bytu... apostołstwo prawdy i miłości... i t. d.... to są wszystko rzeczy piękne — w powieści i na scenie — ale największa filozofia życia — umieć je sobie urządzić wygodnie. — No, dosyć tego, ty egzaltowana główko... (*całuje ją z uśmiechem*). A nie myśl już o tych wielkich rzeczach. Mądrzejsi od ciebie potracili życie, zanim je zbadać zdołali... gdzie to to buja ta myśl szalona... Oj, dziecko, dziecko... Wierz mi, Heluś, im dłużej będziesz dzieckiem, tem lepiej dla ciebie.

HELA. Tak, czemuż nie jestem tem dobrem, wesołem, głupiem dzieckiem, któremu tak dobrze z jego nieświadomością... Cóż robić, mamó, skoro już niem być nie umiem. — (*P. Aniela robi ruch niecierpliwy*). Myśl moja obudziła się i krąży nieraz tak daleko... (*obejmuje ją pieszczotliwie i nieśmiało*). Gdybyś ty mamó zechciała częściej tak serdecznie porozmawiać ze mną, ale tak — sam na sam — to może... możebyśmy się z czasem zrozumiwały...

P. ANIELA. Cóż to? Wymówki?

HELA (*żywo*). Ależ nie, nie — co znowu — nie — tylko... (*całuje matkę tkliwie*). Gdybyś zechciała, mateczko, żyć odtąd więcej z nami... Ale cóż, u nas teraz zawsze ktoś jest. — A najczęściej to już ten nieznośny pan Czopowicz...

P. ANIELA (*szttywniejac*). A — teraz znów rady?

HELA. Nie, nie, matuchno — ja tylko...

P. ANIELA (*wstajac — sucho*). Pamiętaj więc, com ci powiedziała. — Ja nie mogę, słyszysz, nie mogę i nie chcę tracić sił w tej ciągłej a wyczerpującej walce z niezem. Pomyśl nad tem, zastanów się — a gdy się uspokoisz... Chciałabym — ale teraz nie można z tobą... (*chce odejść — w drodze zatrzymuje się, niepewna*). A... co do tego, że... Hm, o kim myślałaś, gdyś mówiła, że nie chcesz szczęścia, jak my je rozumiemy?

HELA (*z nieśmiałą prośbą*). Mamo —

P. ANIELA. No nie, przecież się już nie gniewam... powiedz mi tylko, kogoś miała na myśli, mówiąc: „wy“? — Kto to: ci „wy“? — (*nie patrzy na nią*).

HELA. No — wszyscy — którym... którzy — — No mój Boże — ludzie, którzy nie znają wyższego celu nad... no słowem Annie, Mary, Ely, pan Daszowski — Czopowicz...

P. ANIELA (*która zrozumiała to inaczej*). A!

HELA. Ale przecież... przecież nie ty mamo... (*z trwogą*) przecież nie ty...

P. ANIELA (*chcąc odejść do ogrodu*). Bądź zdrowa, idę do gości... Pomówimy jeszcze.

HELA. Mamo...

P. ANIELA (*zatrzymuje się pytajaco*).

HELA. Mateczko...

P. ANIELA. Cóż?...

HELA. Pocałuj mnie jeszcze... Nie gniewasz się? — zupełnie się już nie gniewasz? — Wcale a wcale?

P. ANIELA. Ależ nie. (*całuje ją przelotnie*).

HELA. Nie, nie tak, tak jak pierwaj, serdecznie... tak, żebym czuła, że mnie kochasz.

P. ANIELA (*niecierpliwie*). Ah! Dajże mi pokój! Dosyć już tego! Nie mam czasu na romanse! (*wychodzi żywo*).

HELA (*oddycha raz jeden ciężko i stoi chmurnie zamysłona, oparta ręką o krzesło. W pokoju mrok*).

SCENA 12.

HELA (*sama — potem*) TADZIK.TADZIK (*wchodzi głębią powoli i ostrożnie, cicho*). Hela —
jesteś tu?HELA (*j. w.*) Jestem.

TADZIK. No — cóż ci jest?

HELA. Nic.

TADZIK. Masz słuszość... poco mi to masz mówić... po
co... naturalnie... (*siada z prawej, podpierając twarz
dłońmi*). Cóż — poszły już?

HELA. Kto?

TADZIK. No — te — nieopierzone gęsi.

HELA, Nie — są tam — bawią się.

TADZIK (*kiwa głową — po chwili*) — — Hela?

HELA. Co?

TADZIK. Masz, przyniosłem ci książkę. (*wyjmuje z pod
munduru*).

HELA. Połóż ją tam — na stole.

TADZIK. A jak mama znajdzie?

HELA. Co mi tam — (*mrucząc*).TADZIK. Aha — a no — (*kiwa głową*). Stara historia —
(*siedzi ze spuszczoną głową — pauza*). Przeczytałaś
tamto?

HELA. Uhm.

TADZIK. Cóż to było, nie pamiętam — Bourget?

HELA. Nie. d'Annunzio.

TADZIK. Aha — i cóż?

HELA. Nic.

TADZIK. Głupia.

HELA (*zrywa się*). Ależ to jest — to jest straszne, ohydne! —
(*zastania twarz rękami*). Jak możesz żądać, abym czy-
tała takie rzeczy!

TADZIK (*zawsze ze spokojną ironią*). Zawsze byłaś i będziesz... Et! Z kobietami to zawsze... Samaś przecie tego chciała... Ale skoro nie chcesz... (*bierze książkę i chce odejść*).

HELA (*poruszywszy się*). Odchodzisz?

TADZIK. Ano cóż? Mam może znosić wybuchy twoich podrażnionych nerwów... Posprzeczałaś się z matką — dobrze, ale cóż ja — ?

HELA. Tadzik — nie mów tak! nie mów tego tak! Ty nie wiesz... (*podbiegając do niego, chwytając go za ramię*). Powiedz no, Tadzik, co ty myślisz o mnie?

TADZIK (*przez ramię*). Że prędzej czy później będziesz typową „dobrze wychowaną panną — na wydaniu“. — Puść mnie.

HELA (*po chwili*). Daj mi tę książkę...

TADZIK (*wraca, kładzie książkę na stoliku z lewej*). Masz. „Kraft und Stoff“ Büchnera. Czas już, abyś zaczęła czytać seryo.

HELA (*chwytając książkę gorączkowo*). O tak, daj, daj, przeczytam, będę się starała zrozumieć — zrozumieć, o! zobaczysz!

TADZIK. A jak przeczytasz, to znów przyjdę. Pogadamy, jak zawsze... Dziś jesteś rozdrażniona...

HELA. Więc nareszcie... będę czytała dzieła tych wszystkich wielkich ludzi... Może oni nauczą mnie myśleć i żyć... Dasz mi potem Hegla?

TADZIK. Po co? Bankrut.

HELA. Więc — Szopenhauera?

TADZIK. Marzyciel.

HELA. To może — może Tolstoja?

TADZIK. Utopista... (*nagle z gniewem*). Stary osioł!

HELA. Kogóż więc?

TADZIK (*podchodząc do niej — cicho*). Czytam teraz Spencera. — Powiadam ci, co to za człowiek... Ale ci go jeszcze nie dam... Za głupia jesteś jeszcze.

HELA. Tak, ja wiem, że jestem głupia... Wszyscy mi to mówią. Ale ktoś robi cośkolwiek na to, abym nią nie była? Ja... ja jestem, jak w lesie. — W lesie, gdzie jest ciemno, strasznie, gdzie pełno dołów i błota... (*wstrząsa się*). Ja tak się boję iść sama, a nie ma nikogo, żeby mnie wyprowadził z tych manowców, po których błądzę. Potem to ja możebym już i znalazła sobie drogę. Ale raz wybrnąć z tego torfowiska. — — Ah! — (*zastania twarz rękami*).

TADZIK (*kiwa głową, włożywszy ręce w kieszenie — pauza*).

Bądź zdrowa! — idę — nie chcę się spotkać z temi...

HELA (*miętko*). Tadzik!...

TADZIK. Co?

HELA (*podchodzi do niego i obejmuje go*). Tak mi jakoś...

TADZIK (*uwalniając się z jej objęć*). Dajże mi pokój... nie możesz tego powiedzieć z daleka? (*mruczy*). Baby zawsze jednakowe... (*zły bierze czapkę*).

HELA (*śmieje się nieszczerze, ociera oczy*). Hahaha! Prawda! prawda! Skąd mi się wzięło na czułości... i to z tobą! No, bądź zdrow, niedźwiadku! (*wychodzą razem*). Co za nieznośna natura, żeby się tak denerwować.. (*w drzwiach*). — — A swoją drogą, czuję, że będzie burza. Zaniosło się. Patrz — o! — — (*pokazuje niebo, nikną w ogrodzie*).

SCENA 13.

(*po chwili wchodzi tamci — już z daleka słychać ich zmieszane głosy*).

MARYA (*za sceną*). Nie, nie, już późno — patrzcie, jak się zaciemniło!

LUDKA. To chmury — to przejdzie.

(*wchodzą na werandę*).

MARYA — ANNA — ELŻBIETA — LUDKA — WŁADEK —
DASZOWSKI.

ELŻBIETA. Ah! Takbym chciała, żeby był deszcz! Ale taki duży, rześisty!

LUDKA (*wbiegając na werandę z pałeczką od krokiet*).
A ja się tak nie bawię — (*do Daszowskiego*). Pan i Ely
wygraliście niesłusznie... oszukiwaliście! tak! widziałam!
Pan Daszowski oszukiwał, żeby Ely wygrała!

MARYA. Ależ — Luciu!

LUDKA. Kiedy ja widziałam! doprawdy! Ja miałam pod
krokiet kulę Władka, więc miałabym potem dwa rzuty.

ANNA. Ależ nie spieraj się Luciu, bośmy to wszyscy widzieli.

LUDKA. A pan Daszowski spędził mnie z pozycyi, stracił
rzut, a że przedtem nie przeszedł bramki...

ANNA. Ależ kiedy przeszedł.

LUDKA. Nie przeszedł, nie, nie! Gdyby nie to, to nie Ely,
ale ja dobiłabym się do palika.

MARYA. Dajże już pokój Ludka, nudna jesteś!

LUDKA (*urazona*). Proszę!

ANNA (*która już włożyła kapelusz i rękawiczki*). Mary,
Ely, ubierajcie się!...

ELY (*której przerwano miły flirt z Daszowskim*). A! zaraz.
A gdzież Hela.

LUDKA. Idzie tu — o!

ELY (*do Daszowskiego*). Proszę mi potrzymać rękawiczki!
(*kładzie kapelusz*).

DASZOWSKI. Nie będzie paniom chłodno?

HELA (*wchodzi z ogrodu*). Jakto — już?

ANNA (*której Władek podawał parasolkę*). Już ciemno...
Ale gdzieżeś to się chowała tak długo?

LUDKA. Nie ma co mówić, ładnie zabawiasz gości!

HELA (*pomagając Maryi się ubrać*). Wybaczcie, ale do-
prawdy...

ANNA. No, bądź zdrowa... *(całuje ją)* a odwiedź mnie wkrótce...

MARYA *(t. s.)* I mnie.

ELY *(t. s.)* Dziękuję za tak mile spędzony dzień... *(ze spojrzeniem w stronę Władka, który stoi dość blisko niej)*. Panie Władysławie — dowidzenia! *(podając rękę Daszowskiemu)*. Do jutra — w parku.

LUDKA *(cicho)*. Moja droga, powiedzno — którego ty właściwie kokietujesz? co?

DASZOWSKI. Ja panie odprowadzę... *(do Heli)*. Panno Heleno!

HELA *(podaje mu rękę)*.

DASZOWSKI *(całuje rękę Heli pomimo jej oporu)*. To konieczne...

WŁADYSŁAW. Bądź zdrowa, Heluś... Mam z tobą tyle do pomówienia... przyjdę jutro... *(ściska jej rękę — ogólne pożegnanie, uściski rąk, do widzenia! do widzenia! Moje uszanowanie!)*

ANNA *(na werandzie)*. Spieszmy się, bo deszcz spadnie lada chwila!

SCENA 14.

HELA *(wychodzi za nimi do ogrodu na prawo, odprowadzając ich — pauza. Z lewej słychać przytłumione głosy p. Anieli i Czopowicza. Jest prawie ciemno)*.

P. ANIELA *(wbiega dość żywo, jakby przed kimś uciekając — przyciszonym głosem)*. Nie, nie, panie Czopowicz, to niema sensu... proszę zaprzestać...

CZOPOWICZ *(t. s. wbiegając zdyszany)*. Przecież mam już słowo!... a od narzeczonej należy mi się...

P. ANIELA *(uciekając z przytłumionym śmiechem i chowając się za sprzęty)*. Nie, proszę pana, jeszcze kto zobaczy...

CZOPOWICZ (*goniąc ją, z ogniem*). Ale kiedy powiedziałem że muszę, to...

HELA (*wchodząc z werandy — niespokojna — cicho*). Co to jest?

CZOPOWICZ (*chwytając p. Anielę — nie widząc Heli*).

P. ANIELA. Nie, nie — ależ...

CZOPOWICZ (*całując p. Anielę gorąco*). Nareszcie... moja ty — (*pauza*).

HELA (*nagle z przeraźliwym okrzykiem zgrozy*). Mamo! (*oboje odskakują od siebie, zmiészani*).

CZOPOWICZ (*po dłuższej chwili — zmiészany*). Panna Helena tutaj?... A to dobrze się składa, bo widzi pani... (*nagle jakby mu dobra myśl przyszła do głowy, sięgając do kieszeni*). Ale prawda! Ja jeszcze nie widziałem się z panią... nie powinszowałem... Pozwoli pani... (*podaje jej małe jubilerskie pudełeczko z krótkim śmieszkiem*). Proszę przyjąć... przecież to można... od przyszłego... hahaha — ojczyrna... (*mruga na p. Anielę z tryumfującą miną, że mu się udało powiedzieć to nareszcie*).

P. ANIELA (*stoi zmiészana, jakby przykuta do ziemi pełnym grozy wzrokiem córki, która nie widząc prawie Czopowicza, stojącego z lewej, patrzy tylko na matkę uparcie i z przerażeniem, jakby się jej w głowie pomieścić nie mogło to, co się dzieje. Bierze machinalnie od Czopowicza pudełeczko, które jednak nie wiedząc o tem, upuszcza na ziemię — pauza. Czopowicz także zmiészany, na boku*).

HELA (*z przerażeniem i grozą, z wyrzutem i bezmierną trwogą w głosie, stopniując i splatając ręce*). Mamo — mamo — mamo?! (*stoją tak wszyscy*).

(*Zasłona spada*).

AKT II.

Ten sam pokój. Drzwi oszklone od werandy zamknięte. Widać przez nie ogród. Jest późna jesień. Drzewa prawie bezlistne lub zrzadka okryte czerwieniejącymi liśćmi. Dzień pochmurny i deszczowy.

SCENA 1.

(za podniesieniem zastony nikogo niema na scenie, po chwili dopiero słysząc za sceną głosy p. Anieli i Reginy, które zaraz potem wchodzi z lewej).

P. ANIELA — REGINA.

P. ANIELA *(w domowej sukni, z wielkim smakiem ubrana).*
Ale chodźże tu, chodźże, szkaradna dziewczyno. Żeby też nie nie napisać, że przyjedziesz dzisiaj... Siadajże, kochana...

REGINA *(lat dwadzieścia kilka, naturalna i sympatyczna, trochę blada, w okryciu i kapeluszu, rozglądając się dokoła).* Nic się tu nie zmieniło.

P. ANIELA. Zdejmijże ten obrzydliwy, mokry żakiet. Tak... *(pomaga jej rozebrać się i sadza ją na kanapie z lewej).* A teraz siadaj. Pogawędzimy, jak za dawnych, dobrych czasów. Skończył się zatem czas twojej pokuty?

REGINA. To nie była pokuta... Było mi tam, jak w raju!

P. ANIELA. Naturalnie, tobie wszędzie dobrze... A cóż twoja uczenica?...

REGINA. A no cóż? Nauczyłam ją tego, co sama umiem...
(z uśmiechem) a że tego nie jest tak wiele...

P. ANIELA. Zawsze to jednak ze cztery lata temu, jakieś wyjechała.

REGINA. Pięć.

P. ANIELA. Już?... Mój Boże, jak to czas leci... Starzejemy się — co?... No, choć, co prawda, nie powinnam tego mówić w liczbie mnogiej.

REGINA (prosto). Mam już lat dwadzieścia siedm.

P. ANIELA. Już?!... Ty moja staruszeko... (całuje ją). —
Cóż?... Bardzoś rada, że jesteś tu znowu z nami?...

REGINA (z odrobiną zadumy). Żal mi tego dziecka... Przywiązałam się do niej...

P. ANIELA. Oj, ty, ty!... niepoprawna! Byłaś i jesteś rozrzutnicą serca.

REGINA (uśmiechając się). Wystarczy mi go dla wszystkich.

P. ANIELA. Ale już teraz nie odjedziesz?

REGINA (poważnie). Nie... Przyjęłam miejsce korespondentki w jednym z biur tutejszych.

P. ANIELA. Jakto? Wyrzekłaś się ukochanego twego zawodu?

REGINA. Tak.

P. ANIELA. I dlaczegoż to?

REGINA. Zbyt długo musiałabym czekać na posadę, a muszę teraz być tutaj... muszę koniecznie — czas już najwyższy!... Nie mogę nadal zostawiać go samego.

P. ANIELA. Kogo?

REGINA. Tadzika! (ożywiwszy się). Cóż, często tu bywał?

P. ANIELA. Ależ codzień.

REGINA. Prawda, jaki on inteligentny? I wrażliwy... Może nawet zanadto... I dlatego właśnie... To bardzo źle wpłynąć może na niego, że nie zdał tej nieszczęsnej matury. — Wiesz... Wyrzucam to sobie... Zdaje mi się, że to po części moja wina. Tak, tak! lepiej, gdy będę przy nim.

P. ANIELA. Istotnie — zaniedbał się w naukach. — Wogóle wydaje mi się jakiś inny, niż bywają chłopcy w jego wieku... Pod pewnym względem jest jakby dojrzałym od nich — a tu znowu — dziwny jest...

REGINA. Nie chcesz chyba powiedzieć, że jest chorobliwy?

P. ANIELA (*niepewnie*). To nie... chociaż czasem — robi takie wrażenie.

REGINA. Cóż chcesz? Wychowywał się sam — bez kierunku — a nie jest z natur zbyt silnych i samodzielnych... Zresztą, dzieci w tym wieku często bywają chorobliwe.

P. ANIELA. Jakto? dlaczego?

REGINA. Dlaczego? Czy ja wiem? Może rozwój ich nie zawsze jest prawidłowy i równomierny... Weź sam ich wygląd. Niezgrabne to, wyrosnięte... nieproporcjonalne... A umysł? Umysł ich rozwija się wtedy tak nierówno... Myśl robi takie skoki... Trzeba dużo miłości i wyrozumienia, a przytem rozumu i siły, aby umieć poprowadzić taką ciemną, błądzącą duszyczkę i postawić ją na gruncie mocnym i pewnym!

P. ANIELA. Sądę, że tego trzeba zawsze?

REGINA. W wychowaniu dzieci? Tak! Ale są w życiu ich chwile ważniejsze od innych — chwile przełomowe (*powoli*). Widzisz — każde takie młode stworzenie, czy to chłopiec, czy dziewczyna, ma pewien okres czasu, który stanowi o całej jego późniejszej istocie.

P. ANIELA. I jakiż to okres?

REGINA. Okres, w którym budzi się jego — dusza!

P. ANIELA. A? (*po chwili*). I sądzisz, że Tadzik jest teraz w tym okresie?

REGINA. Tak sądę... I dlatego odebrałam go od pani Bieleckiej i sprowadziłam babcię... trzeba, abym tu sama z nim była — przy nim!...

P. ANIELA (*patrzy na nią chwilę, ze zdumieniem*). Ależ to jest... I ty zrobiłaś takie poświęcenie?...

REGINA (*prosto*). Żartujesz. — Przecież to mój brat!

P. ANIELA. I dla obowiązku siostry — poświęciłaś — ?

REGINA. Co znowu — dla obowiązku? Przecież go kocham!

P. ANIELA (*wstaje i chodzi chwilę, niepewnie*). Tak — i ja kocham przecież moje dzieci... a jednak, nie uczyniłam dla nich tego, co ty robisz dla brata.

REGINA. Mówisz o swoim zamażpójściu? Sądzę, żeś uczyniła to dla nich?

P. ANIELA. Tak — a jednak. — Słuchaj, czy myślisz, że gdybym to była uczyniła dla siebie, to...

REGINA (*wstając*). Nie — nie uczyniłaś tak!...

P. ANIELA. Ale gdyby tak było?

REGINA. Nie miałabyś prawa tak uczynić!

P. ANIELA. Jakto? Ja nie miałabym prawa ułożyć sobie życia według swojej woli?

REGINA. Nie — nie masz do tego prawa — teraz.

P. ANIELA. Jakto — teraz?

REGINA. Wolno ci było uczynić to dawniej — gdy córki twoje były dziećmi — lub kiedyś, gdy będą ludźmi, teraz nie...

P. ANIELA. Sądziś zatem — że i moje dzieci są w tym okresie, w którym budzi się — dusza?

REGINA (*patrząc jej prosto w oczy*). Tak przypuszczam.

P. ANIELA. A!

REGINA. Czyś ty tego nigdy nie pomyślała?

P. ANIELA. Owszem!... tak!... to jest...

REGINA (*poważnie*). Widzisz — jam nad tem myślała dużo! i przyszedłam do przekonania, że ten właśnie okres jest dla ludzkiego istnienia — najważniejszy. Tam — w mojej samotni — gdym chodziła cienistym szpalerem nad brzegiem rzeki — tam przychodziło mi do głowy dużo myśli nowych i dziwnych może dla reszty ludzi... Tam, być może, zdziczałam trochę, ale nauczyłam się odgadywać rzeczy, dokąd oku ludzkiemu zakryte... Gdybym była poetką... czy wiesz, jakbym słowami odmalowała to, o czem mówię?

P. ANIELA. Nie.

REGINA (*poważnie i prosto*). Nad brzegami rozległego, jasnego jeziora, wśród traw i szuwarowych liści wznosi się cały z tęczowych pereł rosy — pałac. Co rano srebrne fale jeziora, obmywając jego stopnie, grają mu pieśń radości, a co wieczór smukłe liście traw wodnych szumią mu słodką do snu kolysankę. I nigdy nie powstała tam noga ludzka, ni powiało surowe teńnienie zimy... Bo w pałacu tym mieszka cudna i złotowłosa, lekka i jasna — Psyche — dusza ludzka. Tehnienie jej wszechświat przenika. A gdy palcem skinie przezroczym, to w piersiach ludzkich zajęczy cały ból świata, a gdy włosy jasne na świat rozpuści, to wiatr wygrywa na nich pieśń tak cudną, tak słodką, tak Bożą, że do kogo echo ją zanieśie, ten, w głąb swej duszy zasłuchany, pieśniarzem Bożym już na wieki... A gdzie spojrzy, tam wyrastają kwiaty myśli, a gdzie nogą stąpi, tam perły uczuć rozsiewa. Codzień rano wychodzi ona z pałacu swego i idzie po polach szerokich, po puszczech bezludnych, po ludzkich mieszkaniach. — A kogo dotknie palcem swoim w czoło, tego już ludzie potem zwaą geniuszem — a kogo dotknie palcem swoim w serce, ten już za milion czuć i boleć umie. A kiedy znajdzie młodziutkie dziewczątka, lub chłopię młode, rosnące w młodzińca, to je całuje w usta — i z tą chwilą narodzin duszy — każde z nich — człowiekiem.

P. ANIELA (*zamyślona, po chwili*). Nie wiedziałam, że jesteś poetką.

REGINA (*zażenowana trochę*). O! przecież tu nie idzie o słowa — a rzecz samą rozumiesz przecież!

P. ANIELA (*zamyślona*). Powiadasz więc, że to się dzieje w czasie, kiedy...

REGINA. W tym niewyraźnym czasie — tak!

P. ANIELA. Jakto? Czyż przedtem duszy nie mają?... .

REGINA. Mają — ale wtedy ona uświadamia się...

P. ANIELA. U chłopców i u — dziewcząt także?

REGINA. Jeżeli mają być ludźmi!

P. ANIELA. Więc nie zawsze?

REGINA. Zawsze — ale jest to jakgdyby iskra święta, którą Bóg rzuca w serca dzieci — jeżeli zgaśnie przez nas.

P. ANIELA. Przez nas?

REGINA. Przez nas, co mamy ich wychować, tośmy nie warci ich miłości!

P. ANIELA. Więc gaśnie. — Może zgasnąć? Iskra duszy?

REGINA. A kto zabija tę myśl Bożą — Boga zabija!

P. ANIELA. Zabija?

REGINA. Tak z czasem z iskrą zgaśnie — życie!

P. ANIELA (*wstrząsa się, po chwili usiłując otrząsnąć się z wrażenia*). Ah — Rena, takeś mnie przestraszyła... Opowiadasz mi jakieś baśnie czy legendy i doprawdy... Zdenerwowałam się... Przecież ty tego nie mówisz na serio. Przecież to tylko w twojej wyobraźni!

REGINA (*patrząc na nią po chwili, prosto*). Słuchaj Anielko, gdybym ci powiedziała, że tej nocy miała sen cudowny i proroczy — czy uwierzyłabyś mi?

P. ANIELA (*zdziwiona*). Tak sądzę.

REGINA. A gdy ci mówię: Uważaj pilnie na twoje dzieci, i czuwaj nad nimi więcej niż kiedykolwiek, bo tem, co z nich zrobisz teraz, będą całe życie. — Czemuż mi nie wierzysz?

P. ANIELA. Nie wiem — ale wszystko co mówisz, wydaje mi się dziwnem... i nienaturalnem.

REGINA. Wydaje ci się snem?

P. ANIELA. Tak!

REGINA. Widzisz, gdybyś żyła pełnem życiem, to to, co ja odczuwam, byłoby naturalnem dla ciebie, a całe życie takie, jak twoje wydawałoby ci się snem — tak jak mnie się wydaje. To, co jest naturalnem dla ciebie, nie jest niem dla mnie — i na odwrót! Ty rzeczy proste dla mnie wliczasz do szeregu jakichś cudowności!

P. ANIELA. Czy chcesz przez to powiedzieć, że już przestałyśmy się rozumieć?

REGINA (*poważnie*). Nie... chcę przez to powiedzieć, żeś ty — zgasila iskrę twoją. Nie ty, ale ja żyję rzeczywistym, istotnym życiem!

P. ANIELA. Jakie to dziwne, co ty mówisz — jakaś ty cała... dziwna, Reno. Zdaje mi się, że jesteś marą... Żem cię kiedyś we śnie widziała, a teraz sen ten urzeczywistnił się.

REGINA (*z poważnym uśmiechem*). A widzisz.

P. ANIELA (*żywieją*). Czy ty istotnie jesteś kobietą? żyjącą kobietą? czy umiesz kochać? cierpieć, pragnąć?

REGINA. Umiem — silniej — i głębiej od ciebie... (*uśmiecha się do swych myśli*). Ale nie wolno mi teraz myśleć o uczuciach i pragnieniach moich. — Teraz trzeba, abym myślała tylko o nim! — Abym była przy nim całą duszą, wtedy, gdy nadejdzie ta krytyczna chwila, bo inaczej...

ANIELA (*z ironią*). Bo inaczej mogłabyś zabić —

REGINA (*poważnie*). Tak... czasem wystarczy na to jedna chwila. — Trzeba być przy nim duszą ciągle... (*innym tonem*). Cóż? Jakże się ma twoja Helenka?

P. ANIELA (*z ironią*). O! z niej byłby wyborny materiał na taką jak ty — apostołkę.

REGINA. Więc się już budzi?

P. ANIELA. O, zanadto nawet!...

REGINA. Nigdy zanadto — jeżeli tylko w dobrym kierunku. Ale cóż jej zarzucasz?

P. ANIELA. Przedewszystkiem — egoistka. — I jeżeli to przebudzenie się duszy taki ma mieć skutek — to dziękuję. Hela nie może mówić o czem innem, jak o sobie...

REGINA. To zupełnie naturalne. Na jej niedawno rozbudzoną świadomość działa tyle nowych wrażeń, że myśl jej oprócz odbierania ich nie może się już zająć niczem innem. — Zbyt ich wiele, i zbyt różnorodnych.

P. ANIELA. A, daj ty mi pokój z takim rozwojem!

REGINA. Trudno — inaczej być nie może. Ona poprostu nie umie jeszcze wżyć się w uczucia cudze... Na razie jej tylko własne istnieją dla niej. — Ale to minie. A Ludka?

P. ANIELA. Ta, dzięki Bogu, nigdy chyba nie będzie maczyła o pocałunkach duszy. A przytem, to jeszcze zupełne dziecko...

REGINA. Czyś tego pewna?

P. ANIELA. Znam chyba własne swoje dzieci!

REGINA. „Znam“. To duże słowo. One żyją koło nas, jak żywe, przedziwne jakieś tajemnice... których my pojąć nie możemy. — Dziecko — to skarb, powierzony nam przez Boga. Trzeba nam być przy niem ciągle.

P. ANIELA. A czyż nie jesteśmy przy nich zawsze?

REGINA. Tak, wtedy, kiedy się rodzą — otulamy je pieluszkami i watą, kiedy wychodzą, ubieramy je w ciepłe paltociki. Uważamy do przesady, aby nie stłukły sobie noska, lub nie nabawiły się kataru. — Ale kiedy się rodzi ich dusza, nie robimy dla niej nic, a przynajmniej zbyt mało.

P. ANIEMA. Pozwól, moja droga.

REGINA. A tak, prawda — posyłamy je do szkoły — i spokojni, zadowoleni ze spełnionego względem nich obowiązku — odpoczywamy, leniwi rolnicy. Wtedy, kiedy jest właśnie czas siewu! Cóż dziwnego, że nie zbieramy plonu?

P. ANIELA. Sądzisz więc, że plon jest zły?

REGINA. Sądzę, że nasza wina w tem, iż nie jest lepszym. Wiele jest między naszemi dziećmi fizycznych, ale wiele i duchowych kalek. — Sama skarżysz się na Hełę, że jest egoistką! Młodość egoistyczna — ależ to potworne! Cóż jednak winne dzieci, że myśleć muszą o sobie — skoro my nie dość o nich myślimy — nie dość je kochamy? Jeden egoizm zawsze z czasem rodzi drugi.

P. ANIELA. Jakto — nie dość? — Oddajemy im, co w nas jest najlepszego...

REGINA. A więc — kochamy je źle! Dlatego są chore. — Chorują albo na obojętność rzeczy wielkich i świętych, albo na egzaltację. I to i tamto stan niezdrowy.

P. ANIELA. Cóż więc mamy robić podług ciebie, aby były zdrowe?

REGINA. Nie trzeba nam żyć koło nich — trzeba nam żyć z niemi.

P. ANIELA. Wybacz mi — ale robisz na mnie wrażenie osoby — chorej. — Ale proszę, siadaj jeszcze. — Nie obraziłaś się chyba?

REGINA. O, nie — nie obrażam się nigdy... A przytem... chciałabym jeszcze zobaczyć dziewczęta.

P. ANIELA. Są w swoim pokoju. Czy mam je zawołać?

REGINA. Proszę o to.

P. ANIELA (*idąc ku drzwiom z lewej*). Idę!

REGINA. Czy to nie ich pokój — tam? (*pokazuje na prawo*).

P. ANIELA. Nie, to nasz pokój!

REGINA. Nasz?

P. ANIELA. No, tak, nasz — mój i Edmunda!

REGINA. A!

P. ANIELA (*wyszła na lewo*).

REGINA (*sama, podchodzi pomału do drzwi oszklonych, i patrzy tęsknie w ogród — po chwili z lewej wchodzi Hela i Ludka*).

SCENA 2.

REGINA — HELA — LUDKA.

HELA (*podchodzi parę kroków z radością*). Pani?

REGINA (*odwraca się i patrzy na nią chwilę, potem wyciąga do niej obie ręce*).

HELA. Ty?!... *(rzuca się w jej objęcia)*.

P. ANIELA *(staje we drzwiach)*.

REGINA *(całuje ją; patrząc jej w oczy)*. Uosobiona młodość! Jakże się starą czuję przy tobie, Helu — *(całuje ją znowu tkliwie)*.

HELA. Nie żartuj — jakaś ty zawsze miła... Miła i dobra.

A może już teraz nie chcesz, żebym ci mówiła: ty?

REGINA. Dzieciństwo. — Wszyscy powinniśmy tak mówić...

A tamta?

LUDKA *(patrzy na nią badawczo)*. Czy ja mam — także?

REGINA *(podchodzi do niej sama i całuje ją, obejmując serdecznie)*. Musisz, choćbyś nie chciała.

LUDKA *(poddając się jej pieścizotom, zdziwiona)*. To dziwne — masz takie brzydkie, duże usta, a mimo to czuję, że cię kocham — *(tuli się do niej)*. Czy ja cię znam?

REGINA. Powinnaś mnie pamiętać. Kiedym wyjeżdżała, miałaś wtedy lat dziewięć.

LUDKA. Nie przypominam sobie, ale cię znam... o znam na pewno — i oddawna — *(patrząc jej w oczy z uśmiechem porozumienia)*. Ty jesteś tą — tą — no, wiesz.

REGINA *(jakby do siebie)*. Psyche — *(po chwili nachyla się nad nią i całuje ją)*.

LUDKA. Dlaczego całujesz mnie w usta?

REGINA *(z uśmiechem)*. Tak trzeba — *(do p. Anieli)* One już obie — moje.

P. ANIELA. Zobaczymy. — Ale teraz na mnie kolej mówić mglistymi porównaniami. Powiadasz, Rena — żeś tam w samotności nauczyła się widzieć rzeczy, zakryte dla ludzi. — Pamiętaj, aby to, co dla ludzi jasne, dla ciebie zakryte nie było. Bo może przyjsć chwila, że ci zawiąże oczy własna twoja namiętność, a wtedy już nie zobaczysz nic.

REGINA *(zapatrzona w siebie)*. Tak... Gdyby mną kiedy owładnęły uczucia złe... Psyche zemści się boleśnie... Ale czyż tak nie bywa zawsze? *(z uśmiechem)*. A przy-

tem — ja ich nie znam, tych uczuć złych, o których mówisz... One się mnie boją, uciekają odemnie (*zwracając się do Ludki i przygarniając do siebie Helę — żartobliwie*) bo jestem zawsze otoczona aniołami.

P. ANIELA (*przesuwając rękę po czole*). Ale dosyć już tego! Głowa mnie rozbolała od tej mistyczno-nastrojowej rozmowy. Pozwolisz, że odejdę na chwilę?... (*odchodzi na prawo*).

REGINA. O, proszę, nie kępaj się mną wcale!... (*siada koło stołu — wesole*). No dzieci!... chodźcież do mnie i bawcie mnie w zastępstwie mamy. Zostanę z wami aż do czwartej, bo potem Tadzik ma tu przyjść po mnie!

HELA (*która dotąd obserwowała ją ciągle, siada teraz obok niej, na taburecie*). Reniu!

REGINA. Co?... (*bierze jej rękę*).

HELA. Wiesz... Miałabym ci tyle do opowiedzenia... (*z westchnieniem*) ale nie wiem, jak zacząć.

REGINA (*z uśmiechem*). Najlepiej od końca!

HELA (*nie zważając na to, zamyślona*). Widzisz... u nas zmieniło się tyle rzeczy!

REGINA (*poważnie*). Zdaje mi się, że zaczęłaś dobrze.

HELA. Co mówisz?

REGINA. Nic, mów dalej, moje dziecko. (*gładzi jej włosy, ona milczy*). Myślałaś o mnie często?

HELA (*szczerze*). Nie — nigdy, a jednak zdaje mi się, jak gdybym cię pożegnała wczoraj. Wiesz, to dziwne. Zaraz gdy cię ujrzała, myślałam, że ci mam do powiedzenia tyle... a teraz...

REGINA (*łagodnie*). Cóż teraz?

HELA. Teraz, zdaje mi się, że ty już wszystko wiesz, co jest we mnie... żem ci to już wszystko opowiedziała... Czy to nie dziwne?

REGINA. Nie — ja to istotnie wiem — wszystko wiem!

HELA. I teraz, zdaje mi się, że to wszystko tak daleko za mną, tak daleko. — Bo widzisz, najwięcej to mnie męczy

taki jakiś dziwny, wewnętrzny niepokój. A przy tobie
jam taka spokojna... Co to?

REGINA (*milcząc, gładzie ciągle jej włosy — pauza*).

LUDKA (*która klęcząc na krześle z drugiej strony stołu
i podpartszy rękoma brodę, przypatruje się jej ciągle
uważnie, p. chw.*). Reniu?

REGINA. Cóż?

LUDKA. Ty jesteś nauczycielką, prawda?

REGINA. Byłam nią.

LUDKA. Czyś i swojej uczennicy pozwalała mówić sobie: „ty“?

REGINA. Naturalnie!

LUDKA. Bo ja ciągle myślę, coś ty powiedziała przed chwilą.
Wszyscy powinni tak mówić do siebie. No, to znaczy,
myślałaś chyba o samych paniach?

REGINA. Nie, o wszystkich bez wyjątku...

LUDKA (*zastaniając usta ręką*). Jakto? i z panami? (*chichocze*). A toby było dopiero!

REGINA (*poważnie i prosto, patrząc na nią*). Cóżby było?

LUDKA (*zmięszana*). Nie — tak sobie tylko pomyślałam.

REGINA (*bawiąc się włosami Heli*). Więc Tadzik tak często
u was bywał?

LUDKA (*żywo*). O!... bardzo często! (*chichocze*). I właściwie... to nie u nas, lecz u Heli.

REGINA. Tak?

HELA. Żyjemy ciągle razem. Dzielimy się wrażeniami i myślami, jak brat z siostrą.

LUDKA (*chichocze domyślnie*).

REGINA (*patrzy na nią chwilę, potem poważnie*). Luciu...
chodziło tu do mnie (*bierze jej głowę w obie ręce i patrzy jej prosto w oczy*). Moje biedne — biedne dziecko!

LUDKA (*wyrywając się jej gwałtownym ruchem, nagle chmurnie*). Dlaczego mnie żałujesz? Nie znoszę tego, słyszysz?

REGINA. Ależ dziecko — nie chciałam zrobić ci przykrości!

HELA. Jesteś zawsze niewdzięczną, Ludko!

LUDKA (*patrząc na nie z pod zsuniętych brwi — ze skargą*).

O, wiem, wyście wszyscy tacy! Wiem, każdy chce tylko mojego dobra — wiem, ja jestem tylko głupie, niedorosłe dziecko. Ale ubliżać sobie nie dam! Słyszysz? I litości nie zniosę — od nikogo!... Nawet od ciebie! — Wiem ja, coś ty pomyślała teraz... I ty... I ty... coś mi się z początku wydawała taka dobra — i ty także! Nikt ze mną, wszyscy przeciw mnie... (*bliska płaczu*). Każdy sobie... dziecko, dziecko. Nie takie ja już dziecko, jak wam się wszystkim zdaje. — Nie tak znów bardzo ja nie nie wiem. — A czy mnie kto kiedy o co spyta? Czy mi co wytłumaczy? (*coraz bardziej roztkliwiając się nad sobą*). Naturalnie, ja sobie potem wszystko tłumaczę sama i... Ale ktoby tam dbał o mnie — (*tłumiąc łkanie*). Przecież jam dziecko... ja nie nie myślę, nie nie czuję — (*wybuch płaczem*).

HELA (*zrywa się, patrzy na nią chwilę — zdumiona i przerażona*). Luciu! siostrzyczko moja — (*biegnie ją uściskać*).

REGINA. (*patrzy na obie zdala z poważnym uśmiechem*).

HELA Przebacz mi, ja nie wiedziałam — moja ty (*chce ją ucałować*).

LUDKA (*gwałtownie, przez łzy*). Puść mnie! (*wyrywa się i biegnie na środek pokoju*). Co mi po waszych uściskach. Wszyscy mnie całują, a nikt mnie nie kocha!

HELA (*podchodzi do niej*).

LUDKA (*tupie nogą — z głośnym płaczem*). Daj mi pokój — mówię ci... (*wybiegając na lewo*). O Boże, mój Boże! (*pauza*).

REGINA. Czy to — stało się dawno?

HELA. Nie wiem... nie nie wiem. Jam przecież temu nie winna... Ja nie mogę — nie umiem — jam sama taka — taka... oh! (*załamuje ręce*).

REGINA (*podchodzi do niej powoli i ręce te swoją dłonią zakrywa*). Uspokój się, Helu — wszystko jest dobrze — wszystko jest jak najlepiej!

HELA. Ach!... (*kładzie głowę na jej ręce*). To dobrze, bo mnie znowu jest tak jakoś... Gorąca, prawda? (*z trwogą, tuląc się do niej*). Reniu! boję się... gdzie się podziało... co było we mnie, gdym przy tobie siedziała?... Znow ten niepokój. — —

REGINA. To trudno, dziecko... tak być musi... Ale to minie!

HELA. Ah, żebyś ty wiedziała, co się we mnie dzieje, tybyś się mnie sama przelekła! (*tuli się do niej — po chwili szeptem, pełnym zgrozy*) Czy ty wiesz, że ja... że ja czasem to w nic nie wierzę — w nic — I nie nie kocham. — Nie i nikogo! — Oh!... nie tylko nie kocham, ale nienawidzę! (*namiętnie*). Nienawidzę z całej duszy! I takbym chciała... (*ściskając pięści namiętnie*). Takbym nieraz chciała. — Oh, Reniu, Reniu, ja stoję się bardzo złą — czuję to... ale... ja nie wiem, ja nie wiem — (*z namiętnem łkaniem, tuli się do jej nóg*). Tak mnie to męczy. — Chciałabym umrzeć!

REGINA. Dziecko — ty głupie, ty małe — ty bardzo głupie i bardzo małe dziecko... Nie umrzesz, bo trzeba, abyś żyła... trzeba abyś żyła dobrze, rozumiesz? — (*nachyla się nad nią*). Czy myślisz, że ja nie przechodziłam tego samego? Żem się nie szarpała, jak ptak zamknięty w klatce? I mnie się zdawało, że w nic nie wierzę i nikogo nie kocham... a jednak teraz...

HELA. Wierzysz?

REGINA. Niezachwianie.

HELA. W co?

REGINA. W duszę, która jest częścią Boga — Nim samym.

HELA. I kochasz? W wszystkich ludzi?

REGINA. Tak — wszystkich ludzi!

HELA (*z ulgą i podziwem, tuląc głowę do jej kolan*). O!...

REGINA (*po chwili*). I z ciebie będzie człowiek, zupełny człowiek. — Trzeba ci tylko spokoju... czasu... miłości... dużo, dużo miłości (*gładzi jej włosy*). Bo widzisz... inny jest kwiat co kwitnie pod ciepłym odde-

chem słońca, a inny w cieniu pod murem... Pod niebem zaś półnoocy weale nie kwitną kwiaty. — Tak.

(pauza).

HELA (*wzdycha znowu z ulgą — po chwili*). Znow ten spokój i ta ulga... To plynie od ciebie — suknia twoja pachnie spokojem... Jak to miło... Gdyby tak można długo — (*przymyka oczy, cichutko*). Co to?

REGINA (*nachyla się nad nią i całuje ją w usta*). Tak!

(pauza)

(*po chwili słysząc pukanie do drzwi — z lewej*).

REGINA. Kto tam? Proszę!

HELA (*wstaje*). Tadzik.

SCENA 3.

REGINA — HELA — WŁADYSŁAW — TADZIK.

WŁADYSŁAW (*wchodząc*). Czy można? Dzień dobry! Powiedziano nam, że tu jesteście. Rena! (*podchodzi ku niej żywo i bierze obie jej ręce*). Dobra, jedyna, anielska Rena! Więc to ty, ty naprawdę? (*patrzę na siebie długo oko w oko*).

TADZIK (*który wszedł za Władkiem i przywitał się z Helą niedbałym uściskiem ręki — do Heli*). Cóż? zwierzenia? co? przerwaliśmy?

HELA. Nie mów tak, Tadzik. Ja się tak cieszę, że Rena z nami... a ty...

TADZIK (*kładąc rękę w kieszeń od spodni, patrzy w ziemię i kiwa się na nogach*). Phi! Gdyby to tak z pół roku temu...

REGINA (*do Władka, na którego ciągle patrzyła uśmiechniętym i ufnyim wzrokiem*). Więc ci mnie było brak czasem?

WŁADYSŁAW. Ba, rozumie się! Jak możesz pytać! A któż mi to miał w chwilach zwątpienia dodać otuchy i siły? Kto mi położył chłodne ręce na głowie, gorącej od huczących w niej myśli? A huczały! (*śmieje się*). Jak huczały! Huczą i teraz! (*ochoczo*). Ej! Rena! Ja to już chyba do śmierci będę waryatem! (*przytula jej ręce do ust*). Ty moja... siostrzyczko! (*całuje jej ręce*).

REGINA (*wzruszona*). Władku!

WŁADYSŁAW (*chce ją pocałować w twarz*).

REGINA (*odwraca twarz, śmieje się, zmieszana trochę*). Ależ Władku!

WŁADYSŁAW (*wesoło*). Nie? — Zawsze nie? — (*puszczając jej ręce*). A kuzynowstwo, to nic! Czeka! ja ci się odplacę! (*śmiejąc się, podchodzi do Heli*). Słyszałaś, Heluś? Ta Rena nigdy się nie wyleczy jednak z pewnych przesądów (*śmieje się*). Tybyś nie była taka zacofana — co?

HELA (*śmieje się także, choć czuć w jej głosie nutę fałszywą*). Nie radzę ci jednak próbować.

WŁADYSŁAW. No! daj łapkę! Nie powiedziałaś mi dzień dobry!

HELA (*z lekkim wyrzutem*). Tak długo witałeś się z Reną —

WŁADYSŁAW. Cóż chcesz? Wczoraj na dworcu widziałem się z nią tak krótko... A przytem ta masa obcych ludzi... A tak się cieszę — że Rena przyjechała... Patrz — jaka ona zawsze spokojna i prosta. — Gdy patrzę na nią, zdaje mi się, że jest ciche i ciepłe wrześnieowe popołudnie.

HELA (*zamyślona, patrząc na nią*). Tak, to prawda — Ona jest spokojna i prosta.

REGINA (*która podeszła do Tadzika, wyglądającego w ogród i rozmawiała z nim cicho*). Widzę, że jesteś rozdrażniony.

TADZIK. Zdaje ci się.

REGINA. Wczoraj to już zauważyłam, ale zdawało mi się... że... mój przyjazd...

TADZIK. Tak.

REGINA. Tadzik — ty prawie nie wiesz, co ja mówię do ciebie. — O czym myślisz?

TADZIK (*pokazując w ogród*). Patrz — jak te żółte liście spadają cicho. — Bez protestu. — Myślę, co one myślą, spadając. Jakie to musi być uczucie tak spadać, spadać pomalu, spadać co raz niżej, tak po linii ukośnej i leżeć potem cicho, aż kto nadeptnie nogą — i gnić.

REGINA (*wzdrygnąwszy się*). Tadzik! Skąd takie myśli? Widzisz, że jesteś zdenerwowany... Chodź, pójdziemy do domu.

TADZIK. Czy myślisz... że trzeba zżółknąć — zanim się spadnie?

REGINA (*kładąc mu rękę na ramieniu, poważnie*). Tak — tylko w jesieni liście spadają.

TADZIK. Tak myślisz?

REGINA. Chyba — że przyjdzie burza i oderwie parę liści w lecie. Albo, jeżeli który z nich jest chory!

TADZIK (*odwracając na nią swe dziecięce oczy, bezdennym smutkiem rozszerzone*). A ja ci powiadam, że między tymi, co leżą tam, na ziemi, wiele jest takich, co spadły i zgniły — zielone!

REGINA (*z niepokojem*). Nie mów tak, Tadzik, nie myśl o tem. — To źle. — Masz trochę gorączki! (*kładzie mu dłoń na czole*).

TADZIK (*odtrącając jej rękę, śmieje się gorzko*). Nie bój się o mnie — nic mi nie jest! A może położyć się do łóżeczka i napić się lipowego kwiatu? Hahaha! (*chodzi po pokoju, trąc czoło nerwowo*).

REGINA (*z niepokojem*). Hela, Władku... co jest Tadzikowi? Takie było z niego wesołe dziecko?...

HELA (*w zamyśleniu*). Tak, było z niego dziecko.

REGINA. Czyżby... Nie, nie... To istotne dzieciństwo — Nie-dobry jesteś, Tadzik. — Przyjechałam tu do ciebie jednym tchem — a ty tak mi zatruwasz pierwsze zaraz chwile.

TADZIK (*staje przy niej, całując ją w rękę*). Przebac mi, Rena, nie chciałem... (*chodzi znów po pokoju*).

WŁADYSŁAW (*który usiadł i przeglądał pisma*). A no, Reniu, coż robić! To choroba, którą koniecznie przejść trzeba. Ząbkowanie.

REGINA Nie żartuj, Władku.

WŁADYSŁAW. Nie żartuję. Ale jużem ją sam przeszedł, mogę więc o niej mówić spokojnie (*wstaje i podchodzi ku niej*). No — z twoją pomocą naturalnie (*bierze jej rękę*). Pamiętasz — jakeśmy to nieraz roztrząsali ważne życiowe kwestye. — Starzy mówili z uśmiechem pobłażania „dzieciaki“ i zostawiali nas naszym marzeniom.

REGINA (*z uśmiechem*). Tak — u nas obojga to ząbkowanie, jak je nazwałeś, przeszło normalnie!

WŁADYSŁAW. O, pozwól! Tyś miała zawsze więcej równowagi odemnie. Wy kobiety, macie jakiś przedziwny — możnaby powiedzieć — praktyczny rozum, który was zawsze utrzyma na pochyłości. — My lecimy na łeb!

TADZIK (*stanął i słucha*).

REGINA (*ze spojrzeniem w stronę Tadzika*). Daj pokój, Władku.

WŁADYSŁAW. Pamiętasz, jak się u nas wszystko burzyło po przeczytaniu tej lub owej książki — po usłyszeniu tego lub owego śmielszego zdania. — Myśmy to wszystko przeżywali sami — przeżywali w sobie... I to właśnie jest piękne. Ten zapal, ta odwaga, ta ofiarność z jaką na usługi każdej sprawy oddaje się całą duszę bez zastrzeżeń... Ta poprostu: młodość!

REGINA. Tak, to jest piękne, tylko...

WŁADYSŁAW Tylko?

REGINA. (*jak d. s.*) Tylko... Myślę, że teraz wszystko dojrzewa zawcześnie... (*dreszcz ją przechodzi*).

WŁADYSŁAW (*cicho do niej ze spojrzeniem w stronę Tadzika*). Boisz się?...

REGINA (*t. s.*) Jeszcze nie — ach! Gdybyż nie! Nie, nie! Ja muszę być przy tem.

WŁADYSŁAW. Tak — na toś przecież na świat przyszła —
Ty — mateczko! (*całuje jej rękę tkliwie*).

HELA (*która ich ciągle obserwuje, nie mogąc ukryć rozdrażnienia*). Rena — czy i ja według ciebie — ząbkuję?

WŁADYSŁAW (*wesoło*). A tak! A tak! Dobrze, żeś się o tem dowiedziała! Zbyt już byłaś harda!

HELA. Władku — ja nie żartuję. — Ale jeżeli tak, to widzę, że ząbkowanie bardzo boli.

TADZIK. Aha! Nie dziwię się, dlaczego niektórym dzieciom pękają przy tem czaszki.

REGINA. Tadzik!

WŁADYSŁAW. O, pękają! Zaraz pękają!... Ty znów zawsze lubisz się bawić w bajronizm. Po co tu zaraz wsiadać na wysokiego konia?

TADZIK (*patrząc na niego uważnie*). Myślisz, że cierpię na Weltschmerz?

WŁADYSŁAW. Nie, myślę, że nań pozujesz. Ale wcale ci z nim nie do twarzy.

HELA. Ah, mniejsza, jak się to nazywa. Faktem jest jednak, że jest coś, co nas pożera. — To coś, to jest jakaś straszna, dusząca z mora — to klęska!

WŁADYSŁAW (*z siłą*). Nie! To życie! To myśl! To dusza! A że trochę boli — to nie — to z początku tylko. Głowa do góry! Tadzik! Będą z ciebie jeszcze ludzie!... (*uderza go po ramieniu*).

TADZIK. A! myślisz, że rozpaczam, bo mnie spalili przy maturze? Alboż ja dbam o to, co ze mnie będzie, co będzie kiedyś? Phi? — Jak gdybyśmy to wiedzieli, co z nami będzie za chwilę... (*żywiej*). Ja wiem tylko to, co jest. — I wiem, że jest źle!

REGINA (*która go obserwowała, załamując ręce w bólu*). Już?!

TADZIK (*zagryzając usta*). Wiem, że to co mówię, jest śmieszne w ustach 18-letniego chłopca-studenta... sztu-baka. Ale powiedzcie mi, co ja mam robić z tem — co mi tu w piersiach szaleje i... (*urywa*). Po co ja

żyć? (*z tłumionym wybuchem*). Mm! Choć rznij łbem o ścianę!... (*nagle wybucha śmiechem*) Hahaha! Jakie wy teraz macie miny! Słowo daję, chciałbym mieć dar karykaturzysty. — Niezły był wybuch, co?... A możeby tak wstąpić do teatru?

REGINA. Tadziu!... Ja chyba źle słyszę... Ja cię źle rozumiem... Tadzik! Tyś rozdrażniony — tak... Ja wiem... chodź... pójdziemy do domu... porozmawiajmy spokojnie... (*bezradna i trwożna*) Władku!

WŁADYSŁAW. Uspokój się, Reniu. — Nie trwóż się. — On tak zawsze. To jest zupełnie naturalne. On, widzisz, zaczyna być młody.

REGINA. Ah — Jakże zaczyna... Gdzież jest młodość w tem, co on mówi? Tu niema miejsca na młodość... to jest poprostu, poprostu...

WŁADYSŁAW. Moja Reno! I ja to przeszedłem. Widzisz, młodość ma duży zasób sił... zbyt duży, aby się pomieścić mógł w zwykłym, codziennym życiu. Musimy je gdzieś podziąć — te siły, w coś włożyć, z wrodzoną nam rozrzutnością. Mielśmy dawniej piękne ideały, wielkie idee, za które umieliśmy oddać życie. Teraz nie możemy odbywać krucyat, ani walczyć za wolność — walczymy więc sami z sobą... Wiarę i miłość wielkich celów wyssała z nas analiza...

TADZIK. Nie kpij, Władek. — Teraz znów ty zaczynasz.

WŁADYSŁAW. Tym razem mówię zupełnie seryo... Tłumaczę cię przed Reną, choć, wybac, sam cię czasem nie rozumiem. Bo, wy, najmłodsi, zanadto się teraz bawicie w analizowanie i ironizowanie siebie. Ale to się już przejadło. Stało się nudne i niesmaczne. Stało się poprostu filisterstwem! To zabija w was dzieciństwo i młodość, tą piękną, zieloną młodość! Zdolność żywego i silnego odczuwania! Tego to my się w was boimy.

TADZIK (*z tragicznym ogniem w oczach*). Tak. — My jesteśmy jak otehlą, do której wy „dorośli“ zajrzeć się boicie.

REGINA (*która słuchała w szalonym niepokoju i trwodze*). Tadziku mój — dziecko moje — co ty wygadujesz? I ty to mówisz do nas? Do mnie!?

TADZIK (*znów anemicznie, jak dawniej, urywanemi zdaniem*). Nie — nie — Rena — Tyś dobra i rozumna, ty mnie kochasz, ale... Zresztą — nie jesteś przecież moją matką. — Przebacz mi... (*śmieje się nieszczerze*). I po co?... Po co to wszystko? Dajmy temu pokój... O, widzę już, jak się ze mnie Władek śmieje... Taka — „czarna rozpacz w zielone kratki“ reprobowanego studenta — to komiczna rzecz?... Co, Władku? Nie można być przecież Byronem i chodzić do sztuby.

WŁADYSŁAW. Nie, — Tadzik, nie śmieję się z ciebie. — Żal mi cię tylko.

TADZIK (*twarz jego wykrzywia bolesny grymas — po chwili z ironią*). Jest we mnie materyał na Hamleta? co? Hamlet w gimnazyalnym mundurku. Pyszna farsa, co? — A ot, macie zresztą tutaj... (*wskazuje Hełę*). Hamleta w spódnicy! (*śmieje się nieszczerze*). Cóż robić? Teraz świat cały roi się od Hamletów. A skoro, jak mówisz, wielkie idee pobankrutowały... (*kładzie ręce w kieszenie od spodni*).

REGINA. Nieprawda! to nieprawda! Nie wielkiego nie ginie w świecie, tylko wy już nie dorastacie wielkich rzeczy... Dziwnieście skarleli. Ależ czy ty nie widzisz, nie czujesz, że dokoła nas jest milion rzeczy, które kochać warto. I ty, i ty, takie dziecko! Ah! Gdybyś nie był chory, widziałbyś dokoła siebie pełno cudów, w które nie wierzyć jest szaleństwem!

TADZIK (*patrząc na nią z pod oka*). Jakaś ty ładna, Rena, kiedy się zapalisz!...

REGINA (*z gniewem*). Tadzik!

TADZIK. Nie gniewaj się — *(z westchnieniem)*. Ja tylko — zazdroszczę ci. — Tyś młodsza odemnie.

REGINA. Nie, Tadzik. — Zobaczysz. — Ty jeszcze...

TADZIK. Daj pokój, Reniu... jam chory. Samaś powiedziała.

REGINA. Ja cię wyleczę — zobaczysz! Tylko pozwól mi, tylko oddaj mi się cały...

TADZIK *(patrzy na nią z pod oka)*. Tak! a czy wiesz, czego ty żądasz odemnie? Jam dotąd nie ulegał nikomu. — Wyrosłem sam!

REGINA. Teraz będziesz miał mnie a ja ciebie. — Będziemy razem.

TADZIK. Jakaś ty szczęśliwa, Rena... Jak ty mnie kochasz... ja nie umiem... *(opuszcza ręce bezradnie)*.

REGINA. Nauczę cię. — Będziesz znowu kochał Boga i ludzi... Tyś taki jeszcze młody...

TADZIK *(kiwa głową w zwątpieniu)*. Widzisz, Rena, tego od nikogo wiaść nie można... to się musi mieć — w sobie.

REGINA. Po co żyć, pytasz? A praca dla ogółu? A dobro? A prawda? Czyż nie warto żyć dla tego?

TADZIK. Słuchaj, Rena... czy ty to wiesz — napewno? Czy ty to wiesz — tak zupełnie napewno? bo widzisz — to właśnie jest najgorsze, że się nie nigdy nie wie — tak napewno...

(pauza).

REGINA *(po chwili)*. Tadzik... Nie, ty musisz, ty musisz... Tyś tylko chory... Ale ja cię wyleczę. — Pójdziemy do domu...

TADZIK. Tak!...

REGINA *(ubierając się spiesźnie z pomocą Władka, z wypiekami na twarzy)*. Do widzenia, Heluś — bądź zdrow, Władku!

WŁADYSŁAW. Idę z wami.

TADZIK *(cicho do Heli)*. Ja tu jeszcze przyjdę, potem!

SCENA 4.

CIŻ — P. ANIELA.

P. ANIELA (*wchodząc z lewej*). A? Idziecie? Zostańcie. —
Widziałam zdaleka twoje przyjaciółki, Helu. Idą tutaj
z panem Daszowskim.

REGINA (*kładąc rękawiczki*). Daszowski? Czy to nie ten,
co to...

P. ANIELA (*nierada*). Tak!

REGINA. Przyjmujecie u siebie takiego człowieka?

P. ANIELA. No, mój Boże!

REGINA. To szubrawiec! Uwiódł i porzucił tę małą Felę...
no tę... pamiętasz... Wszyscy o tem mówią... Nawet
u nas na wsi. Podobno truła się, biedactwo, czy coś
podobnego. — Teraz jest w nędzy razem z dzieckiem.

P. ANIELA (*niezadowolona, dawała jej znaki*). Ależ —
Rena... (*znacząco pokazuje Helę*).

REGINA. A? Moja droga! Za dużo ukrywamy przed naszymi
dziećmi. Lepiej, że się wielu rzeczy dowiedzą z ust
naszych, niż gdyby miały po za naszymi plecami. —
Bądź zdrowa.

P. ANIELA (*chłodno, podając jej rękę*). Dowidzenia... Przyj-
dziesz do nas przecież czasem. — Proszę, nie zapo-
minaj o nas... I ty, Tadziu!

TADZIK (*kłania się niezgrabnie*).

P. ANIELA (*do Władka*). I ty?

WŁADYSŁAW. Tak, muszę. — Mam interes. — Bądź zdrowa,
Nielu (*całuje ją w rękę*).

REGINA (*która żegnała się z Helą*). Co ci jest?

HELA. Nic — (*obserwuje ciągle badawczo*). Ale ty już nie
jesteś tą, co przed chwilą. — Gdzie twój spokój?

REGINA. Odzyskam go, odzyskam. Tak się boję o niego.
Czyżbym przybyła zapóźno? A! (*wzdryga się*).

P. ANIELA. A pamiętaj, com ci mówiła, Reno!

REGINA. Co takiego? A! nie bój się! Do widzenia, do widzenia! chodźmy! (*pożegnania — wychodzą*).

SCENA 5.

P. ANIELA — HELA — potem LUDKA.

P. ANIELA. Cóż Rena? O czym mówiliście tak długo?
(*z ironią*). Cóżście uradzili?

HELA. Nic ważnego. Nic, coby się dało uchwycić w rękę.

P. ANIELA. Zawsze to samo. O ty...

LUDKA (*wbiega żywo z lewej*). Mamo. — Ida! Istne trzy boginie! Są już w ogrodzie! (*otwiera drzwi szklane — z przekąsem*). I Parys z niemi!

P. ANIELA (*tupiąc nogą*). Ludka! (*do Heli*). No, rusz-że się! Czyż ja mam witać twoich gości? (*wychodząc*). Nie trzeba, aby spostrzegli cokolwiek.

LUDKA. Ej, Hela! Daj ty lepiej pokój! To jeszcze gorzej! Widzisz, ja ci to mówię tak, po dobroci!

HELA (*patrzy na nią rozszerzonemi oczyma*).

LUDKA (*zła*). Cóż się tak patrzysz na mnie, jak na wilkołaka? (*wydrzeźniając się*). No krzycz-że, krzycz! Leć do mamy i krzycz, załamując ręce w świętem oburzeniu (*parodując*). „Niema już dzieci!”

P. ANIELA (*słuchać jej głos za sceną*).

SCENA 6.

P. ANIELA (*słuchać, jak za sceną zaprasza gości i wita się z nimi*). Ależ proszę, proszę... co za niespodzianka... jest w domu, jest, naturalnie... (*przez szklane drzwi widać towarzystwo z poprzedniego aktu*).

HELA (*przeciera ręką czoło i idzie na ich spotkanie*).

HELA — P. ANIELA — MARYA — ELŻBIETA — ANNA
DASZOWSKI — CZOPOWICZ.

P. ANIELA (*otwiera drzwi szklane; wchodzi najpierw Marya, Daszowski z Elżbietą i Czopowicz z Anną — p. Aniela ostatnia*).

MARYA. A my przez ogród, bo chcieliśmy zaskoczyć państwa niespodzianie.

ELY. Patrzenie państwo... Mary mówi o skakaniu! Hahaha! (*śmiejąc się zrzuca kapelusz i poprawia przed lustrem włosy*).

MARYA. A tyś zawsze pełna niesmacznych żartów. Czy myślisz, że skakać nie umiem? (*równocześnie opuszcza się leniwie na fotel bujający*). Jak się masz, Hal — naturalnie dobrze, jak zawsze... (*wyciąga do niej rękę z daleka*). Wybacz, że zaraz siadam, ale...

ELY (*która tymczasem uściskała Helę, naśladując Maryę*). Ledwie żyję ze zmęczenia... (*trzepiąc*). Wyobraź sobie, strzeliło nam do głowy zrobić spacer w taką ulewę... (*otrzepuje suknię*).

DASZOWSKI. To raczej pannie Ely... (*wita się z Helą*).

ELY. No więc tak, mnie... Ale do rzeczy... (*stając przed Helą i chwytając ją za rękę*). Dlaczego to panna nie stawiała się na zaproszenie?

ANNA (*wchodząc*). Tak — dlaczegoś nie przyszła, Helu? czekaliśmy dość długo...

DASZOWSKI. A nie mogąc się doczekać...

ELY. Postanowiliśmy napaść cię we własnym domu. Nie przyszła góra do Mahometa...

ANNA. Przyszedł Mahomet...

ELY. No — dlaczegoś nie przyszła? proszę się wytłómaczyć? Zaprosiłam cię przecież wyraźnie na środę...

DASZOWSKI. Wszyscy stawiliśmy się, jak jeden mąż.

ELY. Prócz ciebie i twego szanownego kuzynka...

HELA (*zmięszana i niezadowolona*). Ja, doprawdy... (*nagle*)
 głowa mnie tak bolała, że...

ELY. Aha! (*z niedowierzającym politowaniem*). Głowa cię
 bolała! Biedactwo! Może boli jeszcze?

ANNA. Polecam ci phenacetinę. To środek niezawodny.

MARYA (*wstając leniwie*). A ja radzę spokój. I dlatego...

HELA. Nie, nie, co znowu... Zostańcie, proszę. Już przeszło.

CZOPOWICZ. Tak, Hela cierpi czasem na takie przemijające
 bóle głowy... Drogie dziecko... To z anemii...

HELA (*ciągle bardzo podrażniona*). Czemuż nie z żołądka?

P. ANIELA (*zgorszona*). Hela!

LUDKA (*chichocze*).

ELY (*śmiejąc się*) Schocking — co? Panny przecież żołąd-
 ków nie mają! Prawda, Mary?

MARYA (*z niesmakiem*). A zawsze niesmaczna!

ANNA (*która rozmawiała z Daszowskim*). A może to miłość?

P. ANIELA. Dzieci jesteście. Paplecie o tem, o czem nie
 macie pojęcia.

CZOPOWICZ (*śmiejąc się jowialnie i grożąc jej*). Ej, panno
 Aniu, panno Aniu... Bo powiem: głodnemu chleb na
 myśli...

ANNA. Fe! Co znowu! Proszę nas nie gorszyć! (*śmiejąc się,
 zasłania twarz dziennikiem, siada*).

ELY (*usiadłszy z lewej*). A dlaczego pan Władysław nie
 był łaskaw?

HELA. Nie wiem doprawdy...

P. ANIELA. Miał dziś ważny interes.

LUDKA (*złośliwie*). Tak, dopiero co stąd wyszedł... Spie-
 szył się bardzo.

P. ANIELA. Ludka!

ELY (*śmiejąc się z przymusem*). A! więc znalazł czas, aby
 przyjść tutaj! Do nas tylko było mu za daleko.

P. ANIELA. Nie, kiedy doprawdy nie miał czasu. Ludka!
 Ludka! Ty niedobre dziecko!

LUDKA. Nie gniewaj się, mamó! Wszak jestem „enfant terrible“. Muszę się przecież utrzymać w mojej roli. Czy mi z nią nie do twarzy?

P. ANIELA. No, dosyć już, dosyć, daj pokój! Chodź-no tu.

LUDKA (*podchodzi do niej*).

P. ANIELA. Znowu masz krzywo kołnierzyk — (*rozmawiają cicho — Czopowicz podchodzi do nich, Anna z Helą, Ely z Daszowskim*).

ANNA. Ale ty doprawdy źle wyglądasz, Helu... Możnaby cię istotnie posadzić o...

HELA (*wyrywając się siłą z dotychczasowej apatyj*). Masz słuszość! Co tam! Niech żyje wesołość! Dziękuję wam, żeście przyszły! (*ściska jej rękę i całuje ją*).

ELY. No tak — to co innego! Brawo!

HELA (*w gorączkowem, sztucznem podnieceniu*). Chcę dziś być wesołą! Chcę zapomnieć o wszystkim. Chcę zapomnieć, że żyję! Chcę oszaleć!

P. ANIELA (*do męża*). Patrz na nią, jaka podniecona! Ona mnie przeraża!

CZOPOWICZ. No, no, córeczko! Spokojnie! spokojnie! Wszystko w miarę!

HELA. W miarę? Co tam miara! Precz z miarą! (*bierze Ely za rękę*). Chodźcie! Pójdziemy do ogrodu! Będziemy biegały po mokrej trawie i żółtym dywanie liści! Wiatr będzie targał nam włosy, a deszcz ochłodzi nam twarze! Ah, deszcz kroplisty! deszcz chłodny, błogosławiony! (*stoi na środku pokoju z przymkniętymi powiekami, jak gdyby deszcz ten czuła na twarzy*).

MARYA. Co do mnie, to dziękuję. Nie myślę nabawić się kataru.

ANNA. Także przyjemność tak moknąć? Rozfryzowują się wtedy włosy i wiszą takimi strączkami dokoła twarzy! Fe! Nie lubię tego!

HELA. Nie? No to bawmy się w ciuciubabkę! To taka piękna zabawa — taka — rozpowszechniona.

ELY. Wybornie! W ciuciubabkę!

HELA. Tymczasem jednak... Daj ręce, Ely, prędko, prędko —
(kręcą się w szalonym tempie t. z. „drobnej kaszki“).

MARYA. Także pomysł.

HELA (po chwili zmęczona i zdyszana pada na fotel w głębi).
Ah! (zamyka oczy).

DASZOWSKI. Co za temperament! Brawo, panno Helu!

ANNA (która stanęła przy Maryi). Słuchajno, Mary, czy
nie uważasz, że Helę za często boli głowa?

MARYA (której się nie chce odpowiadać). Uhm.

ANNA. Ciekawa jestem tylko, w którym się kocha... w kuzynie, czy też... (ze spojrzeniem w stronę Daszowskiego).

MARYA. Dajże pokój — nie przemówiła dziś do niego ani słówka.

ANNA. Właśnie! Najlepszy dowód... A, chyba, że... (mówią dalej po cichu).

LUDKA. Teraz ja — panno Ely, teraz ja! (wyciąga ręce).

ELY (zdyszana, śmiejąc się). Daj pokój, nie mogę.

LUDKA (zadyszana). Dla mnie to nikt nie może, ale gdyby tak poprosił pan Daszowski...

HELA (żywo). Chodź, Ludka... (kręcą się znowu w szalonym wirze. Hela śmieje się głośno, jak w gorączce).

ANNA (do Maryi). Widzisz? Zazdrosna!

MARYA. At! ty o niczem innem mówić nie możesz, tylko...

ANNA (obrażona). Ty o tem nie mówisz. Myślisz za to...
(głośno) Ely, chodź, powiem ci coś wesołego.

ELY. Jestem. Cóż takiego?

ANNA (bierze ją wpół i chodzą po pokoju chichocząc cicho).

CZOPOWICZ. A ja czy mogę posłuchać? A może to nie dla starszych? Hehehe! (podchodzi do nich z jowialnym uśmiechem, panny chodzą, opowiadając coś sobie, on chodzi przed nimi tyłem, śmiechy).

DASZOWSKI (który od chwili podszedł do p. Anieli). Panna Hela jakaś dziś podniecona.

P. ANIELA. Zdaje się panu. Głowa ją boli istotnie.

DASZOWSKI (*patrząc na Helę z upodobaniem*). Ale zawsze zachwycająca.

P. ANIELA. Et — dziecko jeszcze (*rozmawiają*).

HELA (*która stanęła na środku pokoju, rozglądając się*). Jak tu u nas dziś wesoło! A ja? co zadowoloneście ze mnie? Ha ha! (*z ironią*). Wszak to zdrowa, młodzięcza wesołość! To naturalne! Wszystko jest dobrze — wszystko jest jak najlepiej — powiedzialaby Rena... (*innym tonem, głębszym*). Ah! wszystko mi jedno!

LUDKA (*zrywając rękę*). Na Renę nie nie gadaj, słyszysz? Nie pozwolę!

HELA. O?

LUDKA (*patrząc na nią chwilę*). Wstydz się!

HELA. Ty? ty, Ludka? Chodź tu! (*nagle obejmuje ją i całuje namiętnie*). Ty głupie kocię, ty, ty, ty!

LUDKA. Hela, udusisz mnie... (*na pół z radością na pół z gniewem i zdziwieniem*).

HELA (*wyczerpana*). Ale nie, istotnie, zabawmy się w cokolwiek. Siadajcie, proszę! (*pada na krzesło z lewej, zamknąwszy oczy*).

PANNY. Tak, tak, zabawmy się! (*z szumem i wesołym gwarem siadają dokoła — ta scena bardzo żywo*).

DASZOWSKI. Zabawmy się! I owszem! (*siada*).

CZOPOWICZ. A nam nie wolno należeć?

PANNY. Ależ owszem, prosimy! prosimy!

(*Wszyscy siadają dookoła*).

LUDKA. Ale w co?

PANNY. W co? w co?

ANNA. W sekretarza!

razem { MARYA. Mnie wszystko jedno!

{ ELY (*równocześnie*). W „lata ptaszek!“

WSZYSCY. W pierścionek! W menażeryę i t. d. (*Każdy woła co innego, wszyscy mówią razem. Czopowicz trzepie się wesoło, razem z dziewczętami*).

DASZOWSKI (*wstając, wśród ogólnej wrzawy*). Czekaście państwo! Proszę o głos!

razem { ELY. Pan Daszowski ma głos!
ANNA (*równocześnie*). Cicho!

{ CZOPOWICZ (*równocześnie*). Uciszcie się!...
DASZOWSKI (*wychodzą na środek koła — kłania się dziewczętom*). Panie i panowie! (*kłania się Czopowiczowi — śmiechy*). Jeżeli pozwolicie, przedstawię wam mój projekt.

WSZYSCY. Prosimy! prosimy!

DASZOWSKI. Nauczę państwa nowej zabawy. Zabawimy się...

WSZYSCY. Ale w co? w co?

DASZOWSKI (*z powagą*). W kongres niemych.

PANNY. Brawo! brawo!

DASZOWSKI. Na kongresie tym nic nie można mówić.

razem { ELY. Jakto nie?
ANNA (*równocześnie*). Nic zupełnie?
MARYA (*równocześnie*). Doskonale!

DASZOWSKI. Jedna z osób, na przykład... (*ogląda się*) — panna Helena...

HELA (*siedzi ciągle pogrążona w martwocie, prawie nie wiedząc, co się dookoła niej dzieje*).

DASZOWSKI. Panno Heleno... panno Heleno!

PANNY. Helu... spisz? Helu!

HELA (*budząc się z odrętwienia*). Co? A! Tak! (*przesuwa ręką po czole*).

P. ANIELA. Hela — wiesz, że tego nie lubię.

HELA (*spostrzegłszy Daszowskiego, stojącego w środku koła*). A! to pan!

DASZOWSKI. Tak — i właśnie. — Proszę panią o rączkę...

HELA (*patrzy nań zdumiona*).

DASZOWSKI. No — tak tylko na teraz (*z kokieterią*). Choć coprawda — przyjałbym ją i na zawsze — gdyby mi wolno było o nią prosić.

ANNA (*tręcając Maryę*). A co, widzisz? Nie mówiłam?

HELA (*powoli*). Źle się pan wyraził. Cbeiał pan powiedzieć:
Gdybym był wolny.

DASZOWSKI (*śmieje się*). Ależ... o ile wiem...

HELA (*patrząc nań uparcie uważnym wzrokiem*). Proszę pana... Miałam pana zapytać... Co się też dzieje z tą małą Felą... — no, wie pan — (*do panien*). Znać ją przecie — szyla wam wszystkim suknie — co też z nią słyhać?

PANNY (*szeptają między sobą zmieszane*).

ELY. Ależ...

P. ANIELA (*wstaje z gniewem*). Hela!

HELA (*j. w. powoli*). Wiem, że była chora... ale teraz...
Gdziesz się obraca? Pan to wie, naturalnie.

P. ANIELA. Tyś chyba nieprzytomna! Nie wiesz, co mówisz, Hela!

HELA (*j. w.*). Słyszałam, że się pan z nią żeni. Czy to prawda? (*stoi i patrzy mu w oczy*).

P. ANIELA. Nie! to niesłychane!

PANNY (*wstały i skupiły się, szepcząc między sobą. Ogólna konsternacja*).

DASZOWSKI (*z początku ogromnie zmięszany, teraz z gniewem*). Wybacz pani, ale... Na pytania zbyt dyskretnej natury odpowiadać nie mam obowiązku. — I dlatego pozwolą państwo, że... (*kłania się pp. Czopowiczom, stojącym obok siebie i pannom, zbitym razem w jednym kącie pokoju. Znalazłszy kapelusz, kłania się jeszcze raz milcząc i odchodzi*).

CZOPOWICZ (*odprowadzając go*). Pan wybacz... doprawdy, że... Ona dziś taka zdenerwowana.

DASZOWSKI (*bardzo etykietałnie*). O! (*wychodzi*).
(*przykra pauza*).

P. ANIELA (*wybuchając*). Hela! Coś ty zrobiła! Jak ty mogłaś? Jak mogłaś? Taki skandal! Co o tobie ludzie powiedzą? O, wieczna moja zgryzoto!

CZOPOWICZ (*wracając, wzburzony, do żony*). Masz teraz! Masz swoją ukochaną córeczkę! Takeś ją wychowała — masz teraz (*chodzi zły*).

HELA. I cóżem zrobiła tak złego? Napiętnowałam go za czyn podły. Nie więcej!

P. ANIELA (*przerywając jej*). Nie tobie sądzić o tem!

HELA (*z powstrzymanem uniesieniem*). Oszukał i porzucił biedną, uczciwą dziewczynę. O mało nie pozbawił jej życia. Fela była dobrą dziewczyną. Znałyście ją wszystkie!

P. ANIELA. Ależ tyś nie powinna widzieć nawet o istnieniu podobnych istot! Rozumiesz?

HELA. Skoro jednak wiem... Wszak to jest publiczną tajemnicą! Zresztą — my jesteśmy uczciwe dziewczęta i nie chcemy dłużej przebywać w towarzystwie takiego człowieka!

P. ANIELA. Hela — czy ty nie widzisz, że się kompromitujesz?

HELA. A! o to ci chodzi, mamó? Ale — wszak ci mówiłam — nie jestem już dzieckiem. Nie chodzi tu już ani o pana Daszowskiego, ani o to, co powiedzą ludzie — choć istotnie, żal mi bardzo Feli. Napiętnowałam podłość. Tak! Czyż to nie warto poświęcić dlatego opinię o swej naiwności, w którą i tak nikt nie wierzy?

P. ANIELA. Helu! Co ty wygadujesz?

HELA. To co myślę.

P. ANIELA. Dosyć tego.

HELA (*podnosząc głowę*). Zresztą — ubliżył mi! Nie pozwolę, aby nawet żartem odzywał się tak do mnie — taki człowiek! (*zwracając się do panien*). No, powiedzcie, czy wy nie zrobiłybyście tak samo? No mówcież? Ely!

ELY (*chłodno*). Moja droga. — Ty byłaś zawsze jakaś dziwna. — Trzeba być rozsądną. Pan Daszowski jest bardzo dobrą partją i...

HELA. I gdyby ci się oświadczył na seryo — przyjąłabyś go?

ELY. A! Któż o tem mówi. Przecież mi się nie oświadczył.

HELA. Ale przyjąłabyś go?

ELY. Tak... Przypuśćmy...

HELA (*do Anny*). A ty?

ANNA (*naiwnie*). Ależ — on bardzo przystojny — nie uważałaś?

HELA. A ty Mary?

MARYA (*z grymasem*). Nie w moim guście.

HELA. Jakto? Więc traktujecie go tak, jak pierwszego lepszego? Po tem, co zrobił?

ELY. A! mój Boże! Mówisz o tem tak tragicznie, jakgdyby to było coś nadzwyczajnego. Takie rzeczy trafiają się ciągle...

ANNA. I my o nich wiemy...

MARYA. Ale pocóż o nich mówić!

HELA. Tak? Tak?! O — bezwstydne!

PANNY (*oburzają się*).

ELY. Pozwól moja droga... Widzę, że jesteś rozdrażniona.

(*kłania się pp. Czopowiczom*). Żegnam.

ANNA i MARYA (*t. s.*).

HELA (*biegnie i zastawia sobą drzwi z wybuchem*). Nie! nie wyjdziecie, aż usłyszycie prawdę! Tak! tak! tak! Jesteście bezwstydne i brzydzę się wami! a co gorsza, jesteście obłudne i brzydzę się wami stokroć bardziej! Tak — my się nie rozumiemy, tak — ja nie mam pośród was przyjaciółki — tak, wy się mną gorszycie, dlatego, że powiedziałam przy wszystkich o tej biednej dziewczynie... Wyście ze mną razem nie napluły w twarz temu panu! — Spuściłyście oczy, zgorszone, udając, że tego rozumiecie... Ale skoro jesteście takie święte, to czemuż, kiedy jesteście same z sobą, mówicie takie rzeczy, od których na czoło każdej uczciwej dziewczyny wybiega rumieniec wstydu! i teraz... Oh! jakże ja wami pogardzam!... Ale — nie będę was kompromitowała dłużej. Niema nic wspólnego między nami! —

a zatem — idźcie stąd! idźcie jak najprędzej! *(z siłą, wskazując im drzwi)*. Słyszycie? Ja was wypędzam!!
 P. ANIELA. Hela?... Tyś chyba... Jezus Marya... Ona chyba chora — Hela?!

ELY *(która pierwsza otrząsnęła się z osłupienia, z ironią)*. O, proszę, niech ją pani zastawi. Ona istotnie nieprzytomna.

ANNA. To niesłychane!

MARYA. W obec tego nie pozostaje nam nic innego... *(z ukłonem)*. Żegnam państwa — *(przechodząc koło Heli, kiwa jej głową)*. Adieu...

ELY *(kiwnąwszy wszystkim głową, krótko)*. Żegnam!

ANNA *(idzie, na końcu staje przed Helą załamując ręce)*. Hela... Hela...

HELA *(zżyma się, nie chcąc już patrzeć na nie)*.

ELY *(przy drzwiach do Maryi, biorąc okrycie)*. Oszalała! Patrzcie ją! Apostołka cnoty! Święta! *(wybiega)*.

MARYA *(da Anny t. s.)* Zaczynam przypuszczać, żeś miała słusność.

ANNA. Jednak żal mi jej... *(z westchnieniem)*. Ah! ta miłość!... *(ogląda się na nią raz jeszcze i wzdychając, wychodzi)*.

SCENA 7.

CIŻ — *(bez panien i Daszowskiego)*.

(wszystko czworo stoi bez ruchu, nagle p. Aniela dostaje spazmów).

P. ANIELA. Ach!... ach!... ach!... aaach!... Taki skandal! taki straszny skandal... A ja się tego obawiałam — tego się właśnie tak obawiałam... ah... ah... aah...

CZOPOWICZ *(podbiega do niej odrazu, przestraszony)*. Nielo! Anielciu jedyna moja — *(krząta się koło niej, uspokajając ją)*. No uspokój się... Boże mój Boże — *(wybiega do pokoju żółtego)*.

HELA (*podbiega do niej przerażona*). Mamo... co ci jest?
Mamo! (*klęka u jej nóg, całując ją po rękach i kolanach*). Mamo! zrobiłam ci przykrość... Ale — ja nie chciałam... Mamo!

P. ANIELA (*odpychając ją nagle*). Nie dotykaj mnie!

HELA (*przerażona patrzy na nią*).

P. ANIELA (*wstaje i patrzy jej przez chwilę w twarz — potem z nienawiścią*). Oh!... jakaś ty podobna do ojca!

HELA (*czepia się jej*).

P. ANIELA (*odtrącając ją*). Precz!

HELA (*z głuchym jękiem pada, ukrywając twarz w poręczu fotelu*).

P. ANIELA (*wychodzi*).

CZOPOWICZ (*wbiegając z flakonem*). Nielciu... Eluniu... gdzież ona? (*do Heli*). Wyrodne dziecko! Ty ją zabijesz! (*wybiega za żoną na lewo*).

HELA (*jęczy głucho bez łez*).

LUDKA (*która cały ten czas siedziała w kącie strwożona i przejęta, miękko i cicho*). Heluś... (*po chwili*). Heluś... (*ogląda się, czy kto nie widzi, biegnie i całuje ją w głowę — z uwielbieniem*). O ty! — (*po chwili — cicho*). Jak ty się trzęsiesz! czekaj! Krople laurowe! Są u mamy! (*wybiega do pokoju żółtego*).

SCENA 8.

HELA (*sama*) — (*potem*) TADZIK.

HELA (*klęczy ciągle na ziemi. z głową ukrytą w fotelu*).
(*pauza*).

TADZIK (*wchodzi po chwili, ostrożny i ponury jak zawsze — ogląda się — spostrzega ją — staje nad nią z rękami w kieszeniach i kiwa głową — po długiej chwili — cicho*).
Znów to samo!

HELA (*zrywając się*). Tak! Znow to samo! to samo! Zawsze i wiecej to samo! Znikąd — nigdy, nigdy!

TADZIK (*niepewnie, wyjmując ręce z kieszeni*). A ja widzisz... przyszedłem, bo... (*po chwili*). Oddaj mi tę książkę, com ci dał wczoraj...

HELA (*patrzy nań zdziwiona*). A?

TADZIK (*nie patrząc jej w oczy*). Bo widzisz — ja nie chcę, abyś i ty...

HELA. A!

TADZIK. Tak... ja — ja sam nie wiem. — Może to niedobrze dla ciebie... Gdzież ona?

HELA. W moim pokoju, na stole — (*patrzy nań badawczo*).

TADZIK (*niepewnie*). To... dobrze... Pójdę i...

HELA. I ty Tadzik? I ty?

TADZIK (*mruczy coś*).

HELA (*załamując ręce*). Nie mam więc już nikogo... nikogo?...

TADZIK. Rena...

HELA. Nie mów mi o niej! (*po chwili*). Czy wiesz, że ona kocha Władka?

TADZIK (*kiwa głową*).

HELA. A! (*oddycha ciężko, po chwili*) Wiesz? mam uczucie, jakby mi się działa straszna jakaś krzywda! (*wzruszona*). Zdaje mi się, że moja dusza urodziła się niedawno i nie umie jeszcze chodzić... I niema nikogo, co by ją wziął za rękę i pokazał jej drogę... (*uniósłszy się — z szerokim ruchem*). Ah! czasem chciałabym rozwalić mury i krzyczeć głośno, aby mnie cały świat usłyszał: „Ratujcież, bo toniemy!”

TADZIK (*nagle, ożywiony*). Jeżeli myślisz, że ja ci podam rękę, to się grubo mylisz! Nie patrz-że na mnie temi zdziwionemi oczyma przestraszonej sarny! (*wzbudzony, płomienie w oczach*). Ja — ja sam nie wiem — nie! Błądę po omacku, jak ślepe szczenię i chwytam pierwszą lepszą słomkę, aby się uratować! A mimo to

grzęzną coraz głębiej, coraz dalej... Czuję, jak mi dochodzi do piersi, gardła, jak mi wypełnia usta — duszę się!

HELA (*przerażona*). Tadzik!

TADZIK (*ogląda się, ciszej*). Słuchaj, powiadają, że ten, kto nie ma żyć długo, nosi na sobie jakby znamie tego... Ja... ja już dawno chciałem cię zapytać, czy... Tylko nie śmieję się ze mnie — czy czasem... Ja wiem, że to niedorzeczność, ale... to mi się uczepiło, jak zmora, że pozbyć się tej myśli nie mogę... Czy czasem nie widać czego takiego... we mnie?

HELA. Tadzik — Tadzik! Nie! co ty mówisz?!... to przecież niema sensu! Ach, jakeś mnie przestraszył...

VADZIK. Bo widzisz — ja — — (*ogląda się, biorąc ją za rękę, tajemniczo*). Ja czuję, że... tylko się nie bój... czuję, że ja jestem taki... Czego się tak trzęsiesz, głupia... czy to co strasznego? Lepiej przecież, niż żyć tak...

HELA (*drżąc*). Daj pokój, Tadzik, daj pokój.

TADZIK. Albo my wiemy... Hela, czy ty wierzysz w to, że... Czy ty wiesz, co się stanie — potem?

HELA. Nie mów tak Tadzik, nie mów tak... Ja czuję, że to źle... Uczyliśmy się przecież... dusza ludzka jest nieśmiertelna...

TADZIK. Hahaha! Piekło i niebo — co? Hahaha! (*śmieje się gorzko — potem, przysuwając się do niej jeszcze bliżej, niższym głosem, patrząc jej w oczy uparcie, brwi zmarszczone*). Słuchaj, Hela... czy ty to także wiesz... napewno? Czy ty to wiesz — tak zupełnie na pewno? Bo widzisz — tamto... wiesz? tamto, co przed chwilą... ja to nie tylko czuję, ale wiem... (*w jej ucho prawie*) — ja to jedno tylko wiem — napewno!

HELA (*z okrzykiem przerażenia, czepiając się go*). Tadzik

TADZIK (*zelektryzowany*). Czego się drzesz — waryatko!? (*ogląda się*). — Z wami to zawsze. Niby to coś, a w końcu zawsze wylezie baba... Bądź zdrowa...

HELA. Ja cię nie puszcze, Tadzik... (*zmięszana jego ironicznym spojrzeniem*). Zostań ze mną...

TADZIK (*zbladł*). Coś ty teraz pomyślała, Hela — (*patrząc w nią badawczo*) coś ty teraz pomyślała?!

HELA. Nie, Tadzik — nie!

TADZIK. To źle — to bardzo źle, coś powiedziała, Hela... Są rzeczy, o których źle jest myśleć. — A tyś pomyślała rzecz taką... To źle...

HELA (*czepiając się go*). Nie, nie, już tego nie myślę. I ty przyrzeknij mi, Tadzik, że już nie będziesz myślał o tem.

TADZIK (*przystania oczy powiekami*). Tak, tak... przyrzekam ci... przyrzekam — (*nagle wybucha fałszywym śmiechem*). Hihhi! Nie — to paradne! Jak to łatwo wziąć na kawał taką głupią kożę. A tyś może myślała... — co? przyznaj się, żeś myślała? Nie! to zdechnąć można! Bądź zdrowa! (*chce się od niej uwolnić*).
Więc ta książka jest u ciebie na stole?

HELA. Tak — (*z naciskiem*). Dowidzenia, Tadzik.

TADZIK (*lekko*). Dowidzenia (*idzie na lewo*).

HELA (*wołając jeszcze za nim*). Tadzik!

TADZIK (*staje*). Co?

HELA. Chodź, podaj mi rękę... chcę ci spojrzeć w oczy...

TADZIK (*zamknąwszy się znowu*). E, nudzisz mnie! W którymże to angielskim romansie wyczytałaś taką sytuację? co? Hehe! Doprawdy, wy dziewczęta nigdy się nie oduczycie tej egzaltacji! Bądź zdrowa! (*bierze czapkę, zły*). Romansowa gęś! (*wychodzi*).

HELA (*stoi chwilę, zastłoniwszy twarz rękami, potem przeciera oczy, odganiając złą myśl*) A! (*wychodzi za nim*).

SCENA 9.

LUDKA.

LUDKA (*ukazuje się w progu żółtego pokoju z flaszeczką kropli laurowych w ręce. Nawpół ukryta w połach draperyi, cicho*). Helu... Helu!... (*wychodzi, widząc że jej nie ma, przebiega prędko scenę — już blisko drzwi opada ją pończocha — poprawiając ją, wybiega spiesźnie na lewo*). Ciekawam też, co oni sobie powiedzą jutro?

SCENA 10.

(*Po chwili, za oszklonemi drzwiami wokazuje się p. Aniela z mężem. Ona otulona w grubą chustkę, on podtrzymuje ją troskliwie*).

P. ANIELA — CZOPOWICZ (*wchodzą na scenę*).

CZOPOWICZ (*troskliwie zamyka drzwi do ogrodu*). Tak — kochanie... Świeże powietrze powinno ci pomódz... Teraz się położysz...

P. ANIELA (*opierając się na mężu*). Ah...

CZOPOWICZ (*tkliwie obejmując ją i prowadząc*). Cóż — główka boli?... Nie, nie... Chodź... tak — tak... pomalutku — (*wśród tego przeszli scenę razem pomatu i znikają za żółtą portyera*).

(*Zasłona spada*).

AKT III.

Pokój Reny, urządzony skromnie, lecz ze smakiem. Róg z prawej i lewej ścięty ukośnie; w rogu z prawej duże okno, od góry zasłonięte tylko fantazyjnie zawieszoną portyerą — przy ścianie w głębi sofka, przykryta makatą. Pod oknem ładne, dość duże biórko, ustawione tak, aby między niem a oknem było jeszcze miejsce. Na biórku duża zapalona lampa. Foteliki — stolik — z lewej zupełnie na froncie sceny piec, przed nim ładny, haftowany ekran, duże lustro, odwrócone tyłem do publiczności, a frontem ku scenie. Z prawej szafka z książkami. W głębi przy piecu kosz na nuty. Dwoje drzwi — z prawej zupełnie z frontu wejście do przedpokoju, i z lewej przy pianinie do innych pokoi. Wieczór).

SCENA 1.

(przy biórku siedzą Tadzik z Heniem, odrabiając zadanie matematyczne. Henio na środku biórka, pisząc i mrucząc przytem, Tadzik z prawej, tyłem do widzów).

TADZIK — HENIO (potem) BABCIA.

HENIO (także student, ale już bez munduru, kolega Tadzika — pisze, mrucząc) $x^2 + y \cdot \sqrt{x y} = 336$ (nie podnosząc głowy) — piszesz, Tadzik?

TADZIK (mrucząc i pochylając się z ołówkiem nad papierem, przed nim leżącym). Piszę — (cokolwiek robi lub

mówi, znac, że opanowany jest jedną tylko myślą i że odpowiadając, odpowiada raczej sam sobie).

HENIO. $y^2 + x \cdot \sqrt{x y} = 112 \dots$ masz już?

TADZIK *(mruczy)*.

HENIO. Rachujże... co podstawiasz?

TADZIK. Jeżeli podstawię, że $y = x T^2$ to... *(mruczy, nagle, upuszczając ołówek)*. Heniek. — Czy myślisz, że ja zdam teraz?

HENIO. Phi! Jak będziesz tylko pytał ciągle...

TADZIK *(mruczy)*. $x^2 + x \cdot T^2 \cdot \sqrt{x^2 T^2}$ równa się... *(mruczy dalej, wśród tego drzwi się otwierają i ukazuje się w nich głowa babki)*.

BABCIA *(po chwili, cicho)*. A możebyś zjadł co, Tadius — dobrze?

TADZIK *(zajęty nie odpowiada)*.

BABCIA. Do kolacyi jeszcze daleko, a tyś pewnie głodny...

HENIO *(wstał, ukłonił się niezgrabnie i usiadł znowu)*.

BABCIA *(po chwili)*. Dam ci chlebka z maselkiem — świeżutkie maselko — cóż — dobrze?

TADZIK. Dziękuję babci — nie mam czasu — *(mruczy)*.

HENIO *(zajrzawszy mu przez ramię)*. Już?

TADZIK. Czekałże, zaraz... Jedna teta równa się 3, to T... *(mruczy)*.

BABCIA *(cicho)*. Biedne moje dzieciątko — jak się to męczy — *(postała w drzwiach chwilę, a widząc, że zajęci, znika, zamykając drzwi cichutko)*.

TADZIK. Pierwiastek z 324... *(nagle rzuca ołówek)* Aach! *(zamyśla się, podparłszy głowę rękami)*.

HENIO. Co? Dostyc już masz tego? He?... Pozwolisz, że zapalę?... *(wyjmuje papierośnicę)*. A może tu nie wolno palić — he? *(wstał i przeciąga się — zapala papierosa)*. Wszak to „przybytek dziewiczy“? *(rzuca się na sofę)*. Choć, co prawda, to i pani tego przybytku... Ach! co to za oczy, co za oczy! *(wzdycha)*. A cóż za maje-

stat! Poprostu Westalka! mm! (*zaciąga się papierosem*).
 Słuchajno, czy ty wiesz, że ja się w niej kocham?

TADZIK. Et, dalbyś pokój!

HENIO. Myślisz, że żartuję? Wcale nie! Boska kobieta!
 I ma linię! A przytem — phi! cóż warte życie bez
 miłości! To jedyna rzecz, dla której jeszcze żyć się
 oplaci.

TADZIK. Alboż się oplaci?

HENIO. Et — co tu ślepemu gadać o kolorach. Powiadam
 ci, jak zobaczę taką linię, jak u twojej siostry, to —
 zdechł pies! Już po mnie!

TADZIK. Idyotyzm!

HENIO. Może i idyotyzm — ale kiedy mi z nim dobrze.

TADZIK. Mnie z niczem nie jest dobrze. — I dlatego...

HENIO. Boś kretyn. Suszysz łeb Bóg wie czem, i latasz po
 obłokach, a nie widzisz tego, co tu... ot tu jest obok
 ciebie.

TADZIK (*żywiej*). Gdzie? gdzie jest to coś, o czem mówisz?
 Gdzie jest coś, dlaczegooby żyć warto?

HENIO. Ja wiem, po co żyję.

TADZIK. Pocóż?

HENIO. Aby mi było dobrze. No i drugim przy mnie. Zda-
 łem maturę, skończę uniwersytet, dostanę posadę...

TADZIK. Ożenisz się...

HENIO. Naturalnie...

TADZIK. Z czasem będziesz miał dużo dzieci, łysinę i...

HENIO. Pozwól, mój drogi, ale... Cóż innego tobie da życie?

TADZIK. Mnie?... mnie?... Nic nie chcę od niego! (*na-
 miętnie*). Niech mi tylko da teraz — słyszysz? teraz
 odpowiedź na pytanie, co mi we łbie huczy i w pier-
 siach szaleje, jak huragan: poco? poco to wszystko?
 Poco ja się tak wiję? poco żyję... poco się „robie na
 człowieka“, jak mówi Władek i poco to wszystko my-
 ślę?! Bo jeżeli na to się rodzimy, abyśmy się w przy-
 szłości dorobili tuzina dzieci i łysiny to... A te dzieci

znów się szarpać będą w tej bezsilnej mecie i nigdy, znikąd ratunku i odpowiedzi?! (*zastania twarz rękami*).

HENIO (*milczy — pauza*).

BABCIA (*znów głowa jej ukazuje się we drzwiach — słodko*).

To możebyś się napil mleczka? Dobrze, Tadziu?...
Przyniosę...

TADZIK (*nie nie odpowiada*).

BABCIA (*znika*).

HENIO (*który na głos babki zerwał się — staje przed Tadziem, po chwili*). Wiesz co, Tadzik? Mnie się zdaje, żeś ty kiedyś musiał upaść na głowę.

TADZIK (*rzuca się*).

HENIO. Tylko się nie rzucaj. Czy myślisz, że i mnie to wszystko nie przychodzi do głowy? Tylko, że ja nie widzę powodu, aby z tego robić zaraz tragedję.

TADZIK. Tak, ty jesteś z tych, co najważniejsze, najboleśniejże kwestye roztrząsają tak, przy czarnej kawie — i którym to nie przeszkadza mieć dobrego snu i apetytu (*z rozpaczą*). Ale cóżem ja winien, że nie umiem być takim? Dla mnie kwestye te są treścią życia, życiem samem! O! gdybym to miał choć cel jaki — cień celu! Gdybym to uwierzyć mógł w niego! Ja nie mogę, no! nie mogę tak żyć — pociemku! No, nie mogę! czy ty mnie rozumiesz?

HENIO. A matura?

TADZIK (*rzuca się i nagle chwyta za głowę*).

HENIO. Spalili cię — no to zdasz drugi raz i...

TADZIK. I co?

HENIO. I — czy ja wiem? Będiesz się uczył dalej, robił coś, dążył do czegoś innego znowu.

TADZIK (*z zamkniętymi oczyma przez zaciśnięte zęby*). Do łysiny i tuzina dzieci!

HENIO. A choćby.

TADZIK (*j. w.*) Dziękuję ci. Ten cel zostawiam tobie.

HENIO. Mnie on też nie wystarcza, ale — cóż mam robić?

TADZIK (*zrywa się*). Otóż to właśnie! otóż to! (*chodzi*). Co ja mam robić? co robić? (*zalamując ręce*).

HENIO (*patrzy za nim*). Jednak życie, to głupia farsa.

TADZIK (*patrząc w niego badawczo*). Prawda! Czyż nie lepiej... co? Sądzisz, że ja już tego nie myślałem nie raz? Ależ ja z tą myślą... Ach! (*chwytając się za głowę*).

HENIO. Co ci to?

TADZIK. Nic... (*staje przy oknie, opierając głowę o szybę*) (*pauza — cicho*). Zdaje mi się, że znam jedyną odpowiedź na wszystko. — Tak — tak (*jak do siebie*). Czekam tylko jeszcze...

HENIO (*po chwili, cicho*). Nie będziesz się już uczył?

TADZIK. Wybacz — teraz nie! Taki mam chaos w głowie — nie mógłbym... (*po chwili*). Od jakiegoś czasu miewam takie dziwne, a takie silne bóle głowy... Chwilami, gdy mnie taki ból chwyci, zdaje mi się, że mnie opuszczają zmysły!

HENIO. Bój się Boga!

TADZIK. A po każdym takim bólu takie mnie całego przechodzą dreszcze — — Nieraz ręce naprzykład drżą mi tak, że nie w nich utrzymać nie mogę. Wtedy taki mnie ogarnia czegoś strach, że... Żeby od tego strachu uciec, ja... ja mógłbym w takiej chwili zrobić coś...

HENIO. Hm... Mówiłeś o tem komu?

TADZIK (*wzrusza ramionami, po chwili zapatrzony w siebie, cicho*). Zresztą, to darmo... Czuję, wiem to oddawna... To się stać musi... Kogo to opanuje, ten już...

HENIO (*po chwili*). A jednak, ja ci mówię, że twoja klapa przy maturze dużo ci zaszkodziła. O! tyś bardzo ambitny! Ja cię znam!

TADZIK (*zżyma się*).

HENIO. To... możebym ja poszedł... Przyjdę potem.

TADZIK. Nie — zaczekaj — to przejdzie.

(*pauza*).

(*jakby do siebie*). Wiesz ty, w co ja jeszcze wierzę?

HENIO. No!?

TADZIK. W Renę! Wtedy, gdy zobaczę, że i ona...

HENIO (*po długiej chwili*). Słuchajno, czy ona lubi kwiaty?

TADZIK. Kto?

HENIO. No — twoja siostra?

TADZIK. A — nie wiem.

HENIO. Wiesz? Jak tylko wyrwę skąd grosza, zaraz jej poszlę wspaniały bukiet z samych tuberoz — bezimiennie, rozumie się... To będzie szyk — co?...

TADZIK (*stanął i chwycił się za głowę z jękiem*).

HENIO. No? czy...?

TADZIK. Nie — nie! (*staje przy oknie — ciągle tylko napół obecny duszą*).

SCENA 2.

CIŻ i REGINA.

REGINA (*wchodzi z lewej, ubrana jak do wyjścia, w futerko*).

HENIO (*na jej widok zrywa się z sofy i powstaje, jak struna, dławiąc w ręce papieros i usiłując go ukryć*).

REGINA (*wchodząc*). Fe! co tu dymu! Tadzik — uchyl trochę okno.

TADZIK (*czyni to*).

HENIO (*bardzo zmięszany*). Tto... proszę pani... u Tadzika dymiło z pieca, więc... Pani Babcia kazała nam się uczyć tutaj i...

REGINA. Ale tam, zdaje się, już wywietrzyli i zapalili na nowo (*z uśmiechem*). Już nie dymi. — Może panowie zatem przejdziecie tam... Zaraz, zobaczę tylko, czy Andzia zapaliła lampę (*wychodzi*).

HENIO (*z zachwytem*). Bajeczna! Cudowna! Widziałeś, jak na mnie spojrzała? A jak się przytem uśmiechnęła!

Moje bóstwo! *(pada jak długi na ziemię i całuje posadzkę w miejscu, gdzie stała Rena).*

TADZIK *(nie odwraca się od okna).*

REGINA *(wraca).* Wszystko w porządku!... A to co?

HENIO *(znow bardzo sztywny i zmiészany).* To nie, ja tylko...

Szukałem...

TADZIK *(zabierając książki i zeszyty).* Chodź, Henek...

HENIO. Idę już — idę... *(kłaniając się niezgrabnie kilka razy, bardzo zmiészany — wychodzi).*

TADZIK *(chce wyjść za nim).*

REGINA. Tadzik!

TADZIK *(zatrzymując się we drzwiach).* Chciałaś czego?

REGINA *(ciepło).* Chciałam ci powiedzieć, że... *(widząc jego chłód).* Nic... wychodzę na miasto... *(podchodząc do niego i obejmując go tklawie).* Czy mi nie nie masz do powiedzenia?

TADZIK. Nie... *(uwalniając się).* Głowa mnie boli...

REGINA. Odkąd jesteście razem, jesteś taki skryty. Czyś ty zawsze taki? A myślałam, że choć trochę — przydam ci się.

TADZIK. Zawsze byłem taki.

REGINA. A jednak wtedy...

TADZIK. Tak... *(innym, fałszywym tonem).* Nie myśl o tem... to już minęło...

REGINA *(żywo).* Czy tak? czy z pewnością?

TADZIK *(niepewnie).* Tak. — Reniu, czy ty kochasz Władka?

REGINA *(zarumieniona i szczęśliwa).* Skądże to pytanie?

TADZIK *(patrząc na nią badawczo).* Odpowiedz mi.

REGINA *(po chwili, prosto).* Tak.

TADZIK. On tu dziś przyjdzie, prawda? Widzę to po tobie

REGINA *(z cichą radością).* Tak.

TADZIK. A ty idziesz kupić ciastek i sucharków, bo przyjedzie „on“. Prawda?

REGINA. Tadziu!

TADZIK. Widzisz więc... Pocóż ja miałbym... Nie, nie...
Pocałuj mnie siostrzyczko! *(całują się serdecznie)* i myśl
tylko o sobie, kochana... Pocóż ja... Tylko o sobie!

REGINA *(uradowana)*. Nareszcie! — Ale przyrzecz mi, że
przyjdiesz do mnie, gdy...

TADZIK *(zamyślony)*. Tak — gdy mi będzie tak — wtedy
przyjdę do ciebie, aby popatrzeć na twoje szczęście...
Wtedy...

REGINA *(żywo)*. Tak — tak — jedyny. — Ja ci powiem
wtedy słowo twórcze i żywe, tak! *(całują się znowu —
Tadzik wychodzi)*.

SCENA 3.

REGINA — BABCIA

*(patrzy za nim chwilę wzruszona i wesółą cichem, wewnę-
trznem rozradowaniem — potem idzie do lustra i poprawia
kapelusz, nucąc — woła do drzwi z lewej)*. Babciu!

BABCIA. Co, dziecino? *(wchodzi)*.

REGINA. Nie, babciu. — Wychodzę. — Wrócę zaraz —
(nuci).

BABCIA. Jakaś ty wesółą, Reniu!

REGINA. Wesółą jestem, wesółą, bo — *(ściska ją i całuje —
żywo)*. Do widzenia! *(rzuca jej pocałunki, wychodzi,
we drzwiach już)*. A gdyby przyszedł tymczasem *(za
drzwiami już)*. Niech zaczeka...

SCENA 4.

BABCIA *(sama)* — *(potem)* HELA.

BABCIA *(wychodzi za Renę, wraca zaraz — porządkuje
na biurku i ustawia krzesła, staje przed drzwiami,*

zakładając ręce. Uśmiecha się i szepcze coś do siebie. Po chwili słychać dzwonek. — Babcia spieszy do drzwi z prawej, szepcząc). Zaraz, zaraz... (w drzwiach). A! Hela? Patrzcie państwo, co za niespodzianka! (wchodzą obie). Cóż to, kochaneczko? Przyszłaś sama? HELA (całując jej ręce). Tak (oglądając się). Jeszcze wcześnie, dopiero wpół do szóstej... A — ja przyszłam, bo... (j. w.) Reny nie ma?

BABCIA. Przyjdzie zaraz... Masz do niej interes?... Zdejmijże żakiecik! A to się Rena ucieszy!

HELA (zdejmując żakiet). Ja tylko na chwilę... A Tadzik?

BABCIA. U siebie — z kolegą... Uczą się razem zawsze do siódmej — potem — ten — no wiesz, ten student idzie sobie — ma jakąś tam lekcję — a potem znowu wraca i siedzą czasem do późnej nocy. Biedne dzieciątko! Tak mi się marnuje.

HELA (ciągle roztargniona i niepewna). Tak? Więc babcia mówi, że Rena zaraz przyjdzie?

BABCIA. Ale zaraz, zaraz... Poszła tylko do cukierni. — No wiesz! Władzio przyjdzie tutaj. Od czasu przyjazdu Reny nie miał czasu... (domyślnie, z uśmiechem). A może sobie i co mają do powiedzenia. Aj! jak to dobrze, jak to dobrze, kochaneczko, żeś przyszła. Trafiłaś na święto! (śmieje się i całuje Helę, która siada przy biurku). No! posiedź tu trochę, kochaneczko, a ja pójde przygotować herbatkę... (wróciwszy się od drzwi, grozi jej jeszcze z uśmiechem). Ale przyznaj się, kochaneczko, żeś wiedziała, że Władek przyjdzie?

HELA (niepewnie). Ja...?

BABCIA. No, no, cóż w tem złego, wszyscy się przecież cieszymy szczęściem Reny... (wychodząc spiesźnie). No, ale idę, nie gniewaj się kochaneczko, ale widzisz... herbatka... (wychodzi).

HELA (żywo). Babciu...

BABCIA. Co, duszko? (staje).

HELA. Proszę, niech Babcia nie mówi Tadzikowi, żem przyszła do Reny...

BABCIA. A dlaczego? Czy chcesz z nią mówić o nim?

HELA. Nie... to jest... może... Chciałam jej powiedzieć... Nie powie mu Babcia — co?

BABCIA. Ale nie, nie, nie powiem (*zbliża się do niej*). Tylko — czy to nie co złego?

HELA. Ależ nie, co znowu!

BABCIA. Bo widzisz... ona dziś taka wesola... nie trzeba jej zasmucać. — Dawno już nie widziałam jej tak zadowolona... (*ciepło*). Niech i ona ma raz trochę wesela. Widzisz — ona zawsze tylko o drugich myśli... Dziś rano, kiedy wróciła z miasta i mówiła o tem, że się z Władkiem widziała i że się tu wybiera — tak jej błyszczały oczy... Niech i ona raz jeden... Rozumiesz? To przecież także moja wnuczka!... Takbym chciała...

HELA (*całując jej rękę*). Dobra babuniu... Ja — nie chcę was niepokoić, ale... chciałam jej tylko powiedzieć... (*innym tonem*). Tadzik teraz jakiś nieswój... Trzeba dobrze uważać na niego...

BABCIA. Uważać? A! mój Boże! (*splasnawszy rękami*). A czyż ja go nie strzegę, niby oka w głowie? Nawet do pokoju, gdzie się uczy, zaglądam od czasu do czasu... a jakże... i pytam, czy mu czego nie potrzeba... Wczoraj, wyobraź sobie, wyszedł bez kaloszy! Na takie powietrze! On, taki delikatny... no pomyśl tylko... Naturalnie, żem mu dobrze natarła uszu!

HELA (*zdejawszy kapelusz i rękawiczki, przeciera czoło*). A!

BABCIA. Ale prawda — herbatka... (*idzie — staje znowu*). Nieswój, powiadasz? Czyżby się przeziębził? O mój Boże, mój Boże! (*drepcze do drzwi zafrasowana*). Pozwolisz, że odejdę, ale widzisz...

HELA. Tak — wiem, herbatka... niech się babcia mną nie kępuje (*zostawszy sama, siada przy biurku, podpartwszy twarz ręką, potem splata ręce i kładzie na nich głowę*).

Po chwili słysząc dzwonek — Hela wychodzi do przedpokoju, wraca zaraz z Władkiem).

SCENA 5.

HELA — WŁADYSŁAW.

HELA. Nie spodziewałeś się mnie zastać tutaj?

WŁADYSŁAW. Reny niema?

HELA. Nie — wyszła. Zaraz wróci.

WŁADYSŁAW. Czekasz na nią?

HELA. Tak. *(siada z lewej).*WŁADYSŁAW *(chodzi po pokoju, poruszony. Zajęty jest myślą jakąś, która napętnia go wewnętrzną radością. Widać, że radość ta pomieścić się w nim nie może — chciałby mówić, a co chwila coś go wstrzymuje).*HELA *(która od początku patrzy nań badawczo i obserwuje ukradkiem — goni go teraz wzrokiem. Pauza).* Wyglądasz... jakby ci się zdarzyło coś niezwykłego.WŁADYSŁAW *(stojąc przed nią, z błyszczącymi radością oczyma, z wybuchem).* Tak! *(niepewnie).* To jest... nie... *(po chwili).* Być może...HELA *(pytająco).* Coś — radosnego?WŁADYSŁAW. Tak — to jest — nie wiem, nie wiem, nie wiem... sam nie wiem... *(biega żywo, trąc czuprynę i uśmiechając się do swych myśli).*HELA *(z tłumioną goryczą).* Rozumiem — przyszedłeś, aby to powiedzieć Renie.WŁADYSŁAW *(oddychając szybko i nieregularnie).* Tak... Spotkałem ją dziś rano i uprzedziłem ją, że tu przyjdę... *(j. w.)* Mówiłem tylko, że jej mam do powiedzenia coś ważnego... *(staje).* Nikt o tem jeszcze nie wie...

HELA. A! Ona zatem dowie się — pierwsza.

WŁADYSŁAW. No naturalnie... Jej się to przecież należy... Czy wiesz, że to ona podała mi właściwie tę myśl..

HELA. O... nie chcę się wdzierać w twoje tajemnice...
Ja... ja zaraz pójdę... Pomówię z nią słów parę
i odejdę... zostawię was samych.

WŁADYSŁAW (*nie zważając na jej ton gorzki, zatopiony w swej radosnej myśli*). Ach, gdybyś wiedziała, gdybyś ty wiedziała, Hela... Pamiętasz... ja w ostatnich czasach ciągle byłem taki, no wiesz... ciągle myślałem tylko o tem... tylko o tem... Ale nie chciałem mówić, dopóki... (*z tryumfem*). Teraz już wiem — wiem napewno — (*coraz żywiej i nieporządnie*). Dziś w nocy! Tak, dziś w nocy — (*znowu chodzi — nagle*). To mi błysnęło, jak piorun! — Jestem od tej pory, jak — wiesz? od rana latam po mieście, jak waryat! (*śmieje się nerwowo*). Czasem — pytam się siebie, czy ja naprawdę nie — oj! (*opiera się o biórko i przesuwając rękę po twarzy*).

HELA (*przestraszona i porwana, wyciągając ręce*). Władku!

WŁADYSŁAW (*z uniesieniem*). Tak! tak! tak! nie mogę... nie chcę już dłużej... Ja muszę... (*rzucił się do jej rąk i chwycił je obie, prędko, jak w gorączce, mówi jej w samą twarz*). Hela — czy ty wiesz, czy ty pamiętasz... Mówiłem ci raz przecież... no wiesz — wtedy...

HELA (*jakby wyczytując myśl tę z jego mózgu, — z radością*). Twój wynalazek!

WŁADYSŁAW (*kiwa głową, nie mogąc mówić. Nagle pochyla się i zaczyna całować jej ręce, wybuchając radośnem, dziecinnem prawie łkaniem*). Tak! tak! tak! Dziś w nocy! tak!

HELA (*po chwili, bardzo wzruszona*). Władku! (*wysuwa ręce z jego uścisków, zasłania twarz*).

WŁADYSŁAW. Nie! To chyba sen!... ja już dawno miałem pomysł... Ale dziś, dziś dopiero, wiem, wiem już napewno! (*znów płacze — nagle przechodzi w śmiech*). Żebyś ty wiedziała, jakie to proste, jakie — no — jakie

wprost dziecinne... to — — Ja sam nie wiem, doprawdy, jak można było nie wiedzieć tego... (*zachodząc z tyłu do stolika, bierze jakiś leżący tam dziennik i wyjmując z kieszeni ołówek, rysuje szybko, ukląkłszy na krześle — Hela nachyla się nad tem ciekawie*). O widzisz — patrz — to jest szruba od walea — a tutaj... patrz... ta mała, ta maleńka klapka... (*rzuca ołówek i znów chodzi*). Nie, nie... to się nie da. — Przecież ty i tak nie wiesz, o co chodzi... Ja teraz nie mógłbym... Jak przyjdzie Rena, wytłómaczę to wam... narysuję — (*chwytą znowu jej ręce*). Hela! Hela! czy ty to rozumiesz? — Odtąd zamiast trzech ludzi, trzeba będzie jednego... jednego! Czy ty to rozumiesz? Co za przewrót! Co za zysk! I to ja, ja, ja dokonałem tego! Aj — w głowie mi się kręci!

HELA. Jakiś ty szczęśliwy, Władku!

WŁADYSŁAW (*z uniesieniem*). A! co szczęśliwy! Ja jestem pijany po prostu!! (*stojąc przed nią na środku pokoju*). Wiesz! Ja czuję w sobie taką jakąś dziwną siłę i taką radość, że — — Ja chyba... (*chwytą się za głowę*). Zdaje mi się, że mógłbym dziś... (*unosząc się coraz bardziej*). Jam dziś taki jakiś — taki — A! czuję dziś w sobie całą moc świata! Cały geniusz ludzkości! Wszystka młodość, wszystkie porywy siły i czynu skupiły się we mnie! Tak, jam młody, jam silny, jam wszechmocny! (*z piorunami we wzroku*). Mógłbym objąć cały, świat i do moich cisnąć stóp — mógłbym nieba zniżyć strop i w ten błękit ubrać skroń — mógłbym słońcu kazać: stój! Gdybym chciał!... (*stoi dumny i piękny swem szalonem, młodzieńczem uniesieniem. Ona patrzy nań z rosnącym podziwem i zachwytem. Powoli zapal jego porywa ją — nie wiedząc o tem, osuwa się pomалу z krzesła na ziemię i klęcząc, a raczej siedząc na podwiniętych nogach, posuwa się ku niemu po ziemi. On z oczyma utkwionemi przed siebie nie widzi jej, ani nic dookoła*

siebie. Hela kilkakrotnie jakby chce dotknąć jego ubrania lub ręki i kilkakrotnie się cofa, jakby nie śmiała. Jest jak zahypnotyzowana — wreszcie po chwili, nieśmiało dotyka się go i szepce z uwielbieniem, nieświadomie).

HELA. Ty mój...

WŁADYSŁAW *(jak zbudzony, spogląda ku niej, uderza go to, nowa myśl przykuwa go do siebie — z niezmiernem zdziwieniem). Ty? (potem z szaloną radością i uniesieniem). Ty?... ty?... ty?!... (klęka koło niej i patrzy na nią w zdumieniu — klęczą naprzeciw siebie chwilę, trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy).*

HELA *(patrząc mu w oczy, po chwili, cicho i dobitnie, duszą całą).* — Tak!...

WŁADYSŁAW. Ty! ty! ty! *(nagle zaczyna całować jej ręce i kolana w szale radości, powtarzając wśród tego ciągle ten jeden wyraz. Ona z przymkniętymi powiekami poddaje się tym pieścizdom, oparta głową o krzesło, za nią stojące. Uśmiecha się do niego, upojona szczęściem — znów patrzą na siebie chwilę w milczeniu, trzymając się za ręce, poczem Hela odbiera mu swoje, przesuwając je sobie sennym ruchem po twarzy i szepce powoli).* Więc to jest tak?... *(potem przesuwając rękami po jego włosach i twarzy, ciągle w ekstazie).* Jak to pięknie — jak to bardzo pięknie... Ja nie wiedziałam, że tak bardzo pięknie...

WŁADYSŁAW. Jedyna moja!

HELA *(namiętnie).* Ukochany mój, na wieczność ukochany! *(zarzuca mu ręce na szyję i przytula się do niego całą sobą — on całuje jej usta oczy i włosy. Hela gorąco).* A ja tak czekałam — Więc ja tak całą wieczność czekałam — na to? — I to... stało się naprawdę, naprawdę? O, ja wiedziałam, że to jest, że to być musi... Nie wiedziałam tylko, że to będziesz ty! — *(objęci uściskiem, kołysząc się zwolna w radosnem upojeniu).*

WŁADYSŁAW. A ja szedłem tu na spotkanie czegoś...
Szedłem ciągle w życiu na spotkanie czegoś... ale że
tem czemś byłaś ty... ty? *(znów uścisk)*.

HELA. Ja myślę, że to musiało być już dawno, tylkośmy
nie wiedzieli o tem *(siada zupełnie na ziemi, z dzie-
ciną radością)*. Pamiętasz, jak raz w dzieciństwie,
przeczytawszy jakąś historję o księciu, co wykradł
królowną, uciekliśmy z domu?

WŁADYSŁAW *(porwany, ze szczerym śmiechem aż do łez)*.

I jak potem zabłądziliśmy w lesie?

HELA *(j. w.)*. Wieczór zapadał... ja tak bałam się ciemności —

WŁADYSŁAW. Pamiętam! Płakałaś ze strachu... Ja zaś
chciałem udawać rycerza —

HELA. I płakałaś jeszcze głośniej! *(śmieją się oboje aż do
łez)*.

WŁADYSŁAW. A potem nas znaleziono splakanych i śpią-
cych i na rękach zaniesiono do domu. A potem tyś
przez sen jeszcze wołała: Władku, ja się boję, weź
mnie stąd, Władku —

HELA *(powstała)*. Władku — weź mnie stąd, Władku — *(za-
rzuca mu ręce na szyję)* weź mnie całą.

WŁADYSŁAW. Królowno ty moja — *(pauza, pozostają
w uścisku, nagle Hela, wyrywając się z objęć jego
z wyrazem przerażenia na twarzy, zrywa się i zasłania
twarz rękami)*. A! *(on wstaje także, pauza — patrzą
na siebie chwilę, chcąc wzajemnie wyczytać w oczach
swych myśl jedną — cicho)*. Władku — *(pauza)*.

WŁADYSŁAW *(odwraca oczy — nagle gorącym szeptem)*.
Co mi tam! Poco myśleć o czemkolwiek, co nie jest
nami! Ja nie wiem — nie wiedzieć nie chcę! Co
nas obchodzi cały świat! *(gorąco)*. Wiem tylko, że jest
coś, co nas sobie rzuciło w objęcia i co teraz nie da
się w nas zabić. Wiem tylko, że to coś jest silniejsze
nad światy i potężniejsze nad wszelkie prawa i pęta,
a tem czemś — jest miłość nasza! *(coraz namiętniej,*

próbując ją objąć, podczas kiedy ona usuwa się z objęć jego, przecząc z trwogą).

HELA. Nie, Władku, nie, nie... przez litość — nie!

WŁADYSŁAW (*j. w.*). Wiem tylko, że spadło na nas dzisiaj wielkie, nieoczekiwane szczęście i że tego szczęścia wydrzeć sobie nie dam! (*ciszej*). Wiem tylko, że ty musisz być moją, bo ja pragnę ciebie, a ty pragniesz mnie... (*objął ją i trzyma mocno jedną ręką, podczas gdy drugą obraca jej twarz ku swojej, patrząc jej w oczy, gorącym szeptem*). Zaprzecz teraz jeżeli możesz...

HELA (*zahypnotyzowana jego wzrokiem, po chwili z ciężkiem westchnieniem opada mu na piersi*).

WŁADYSŁAW. A! (*obejmuje ją obiema rękami. Stoją tak chwilę nieruchomo*).

WŁADYSŁAW (*j. w. szeptem*). Dziwna rzecz. Jakie tamto dalekie teraz odemnie... jakie dalekie... Ty moja... (*naraz za sceną z lewej słychać jasny głos Reny — uścisk ich rozplata się*).

Głos REGINY. Są oboje? Gdzież ona? Gdzież ta nieznosna mała... (*z temi słowami na ustach wchodzi wesóło, zarumieniona od zimna*). Śnieg, śnieg, śnieg... pierwszy śnieg!

SCENA 6.

CIŻ — REGINA.

REGINA. A! (*śmieje się*). A tom was złapała! (*zdejmując okrycie*). Jak to dobrze czasem wejść schodami tylnymi! Wiecie? Śnieg! (*śmieje się — wyciągając ręce do obojga, widząc, że oboje stoją nieruchomo, nie śmiejąc się poruszyć, z wzrokiem utkwionym w ziemię*). No — cóż to? nie witacie się ze mną? Stoicie oboje z minami winowajców. — Możecie stłukli mój piękny wazon i boicie

w szmaty, abyście poznali, co to ból... taki jak mój — beznadziejny!

HELA. Nie — ja tak stąd nie odejdę. Ty cierpisz nad miarę... (*prosząco*). Rena!

REGINA. Hahaha! A czy ty wiesz, co ja teraz myślę? Myślę, że wy oto pójdziecie stąd — razem. — A choćbyście się już nigdy spotkać nie mieli w życiu, to zawsze jeszcze pozostanie wam coś — wspomnienie jednej, jedynej chwili szczęścia. Byliście dość występnymi czy samolubnymi, aby ją sobie zdobyć — a ja — nie miałam i nie będę miała takiej nigdy w życiu (*placze*). Bo ja jestem dobra — i czysta — haha! Jakiś ty mnie dobrze znał, Władku... (*po chwili z wybuchem*). Oh, nienawidzę was, nienawidzę z całej duszy! Za waszą młodość! Za wasze uniesienia! za tę jedną, wspólnie przeżytą chwilę... za to, żeście byli do niej zdolni — jakże ja was nienawidzę! (*to już mówi łkając*). O, gdybym mogła cierpieć z powodu nieszczęścia swego tylko, a nie z powodu piekielnej, żrącej zazdrości! Nienawidzę was, bo wam zazdroszczę — słyszycie? Idźcież już... (*z udręczeniem*). Oh! (*rzuca się na sofę — cierpi nad miarę — pauza — po chwili miękko*). Nie — nie, to nieprawda... zapomnijcie o tem, com mówiła... Ja potem — ja znowu... Ja tylko... cierpię tak bardzo... (*daje znak, aby odeszli*).

(*Oboje wychodzą*).

SCENA 7.

REGINA (*sama*) — (*później*) BABCIA.

REGINA (*zostawszy sama leży chwilę na sofie, potem, jakby jej tchu brakowało, podchodzi ku oknu chwiejnym krokiem, otwiera je — opiera głowę o futrynę. Na dworze*

śnieg, Bierze w dłoń garść śniegu i chłodzi nim sobie rozpalone czoło. Potem bierze znów w garść śniegu — trzyma ją przed sobą i patrzy z gorzkim uśmiechem, jak śnieg topnieje i woda spływa po jej palcach... Gdy się już roztopił zupełnie, z goryczą). Moje szczęście... moje życie — (wybucha długim, rozpaczliwym płaczem, osuwając się na ziemię i uderzając głową o sofkę).

BABCIA (*ukazuje się po długiej chwili w drzwiach*). Reniu — można już podawać herbatkę? (*wchodzi*). Cóż to? niema nikogo? Reniu, gdzie jesteś... (*spostrzegłszy ją z przestrawą*). Reniu! co tobie, ty płaczesz?

REGINA (*po chwili, łkając*). Tak, płaczę na pogrzebie mojej młodości... Mogła była żyć jeszcze długo, ale oni zabili mi ją, zabili... zabili... (*jęczy, kołyszając głową*).

BABCIA. Dziecino ty moja... co się stało? Gdzież tamci? (*zaniepokojona siada przy niej na sofce i usiłuje ją podnieść*).

REGINA (*do swoich myśli*). Już nie jestem zdolna do uczuć pięknych i gorących — o! jak to okropnie! (*płacze*).

BABCIA. Reniu, jedyna moja... wnusiu moja droga... Powiedz mi, co się stało? No, powiedz starej babce — może coś poradzimy... no, Reniu... nie patrz-że tak okropnie...

REGINA (*odtworząc w myśli usłyszane słowa*). Gdy cię własna namiętność zaślepi... wtedy już nie zobaczysz nic. — Jam już ślepa — ślepa... ooo! — (*łamie ręce z długim jękiem żalu nad samą sobą*).

BABCIA. Reniu! ty mnie przerażasz... Może wody, a może... Czyś ty nie chora...

REGINA (*opamiętawszy się*). Nie babciu, daj pokój... Jutro ci powiem. — Jutro — takam zmęczona. Zostaw mnie...

BABCIA. Ale kiedy...

REGINA (*niecierpliwie*). Proszę! Nic mi nie jest. Uspokoje się — tylko — (*całując ją w rękę*). Zostaw mnie, proszę...

BABCIA. Jeżeli chcesz koniecznie — Ale przyrzeknij mi, że się zaraz położysz. Ja tam tymczasem przygotuję wszystko — dobrze — przyrzekasz?

REGINA. Dobrze... dobrze — tak — tylko idź... Babciu.

BABCIA (*z westchnieniem, zabiera się do odejścia, oglądając się*).

REGINA. A weź ze sobą lampę... światło tak mnie razi... (*zasłania się od lampy*).

BABCIA. (*zabiera cicho lampę, zasłaniając ją ręką od Reny i wychodzi na palcach na lewo*). A pamiętaj, Reniu... przyrzekłaś...

REGINA. Tak... tak...

BABCIA (*wychodzi z lampą — do pokoju wpada tylko słaby blask od latarni z ulicy, zresztą ciemno*).

— — — — —

SCENA 8.

REGINA — (*potem*) TADZIK.

REGINA (*zostawszy sama milknie i leży wyczerpana bez ruchu. Drzwi z lewej otwierają się cicho, wchodzi Tadziki, skradając się*).

TADZIK (*po chwili cicho*). Reniu — Reniu!

REGINA (*podnosząc ciężko głowę i opuszczając ją napowrót nieprzytomnie*). Co?

TADZIK (*siada z lewej przy stoliku*). Nie zapaliłaś lampy? — Był tu kto? — Heniek poszedł. — No — cóż tak milczysz? Rozmyślasz nad czym? (*macha ręką*). Daj pokój! (*pauza*). Czy leżysz na sofie? Śpiąca jesteś?...

REGINA (*głucho, nie podnosząc głowy*). Nie...

TADZIK. Aha! głowa cię boli! Bo widzisz, ja... chciałem ci coś powiedzieć. A może o coś spytać — (*nagle*). Podobno była tu Hela?

REGINA (*chwytając się za głowę, ciągle, jakby jej z trudem przychodziło mówienie*). Tak.

TADZIK. Mówiła co? może o mnie? (*wyjmując ręce z kieszeni i ogryzając paznokcie — po chwili*). Nie?... Hm. — Słuchaj, Rena... ja... Albo lepiej... (*chce odejść — staje, obgryzając ciągle paznokcie*). Jakiś ty to mówiła: dobro, prawda — co? (*śmieje się niepewnie, błyska spojrzeniem z pod przymkniętych powiek*). Czyż nie warto dlatego żyć? co? Tak to było?

REGINA (*z mężką*). Nie wiem...

TADZIK. A potem... Hela mówiła: Mam uczucie, jakgdyby nam się działa wielka, wielka jakaś krzywdą... Hm... (*pauza*). Przysięgam ci dzisiaj, że jak mi będzie tak, to przyjdę do ciebie... Bo widzisz, Rena... Mnie jest teraz ciągle tak... a przytem... tak mnie dziś bardzo głowa boli, ale... (*innym tonem*). To... to widzisz taki bakcyl... taki mózgowy bakcyl, co to gryzie i gryzie — (*tłumi jęk i chwytając się za głowę*).

REGINA. O!

TADZIK. Płaczesz? Głupstwo! Daj pokój... To jeszcze nikomu nie załatało duszy... (*po chwili*). Dobranoc, Rena... prześpię się trochę... bo potem w nocy — (*staje, udając wesołość*). A jak wyjdiesz za mąż i będziesz miała dziecko, to otwórz mu czaszkę i zobacz, czy nie ma w mózgu takiego bakcyła... (*śmieje się nieszczerze, krótko*). Myślisz, że mu to zaszkodzi? To nie! tem lepiej! (*tragicznie*). Przynajmniej odrazu...

REGINA. Nie pójdę za mąż! Nie będę miała dzieci! nigdy, nigdy, nigdy! oh! (*jęczy — po chwili*). Nie męcz mnie, Tadziku. — Przynajmniej nie dzisiaj.

TADZIK (*pod silnem wrażeniem*). A? Więc to — —?

REGINA. Tak... Był tu Władek i...

TADZIK. Tak... więc ty nie nademną. Hm... I ty — i ty — widzisz... widzisz... (*jak do siebie, zamyślony, powoli*). A ja nie mogę... nie umiem płakać nad tobą... tak...

stara historia. — Tak... (*kiwa głowę w zamyśleniu — jak do siebie*). Nie zawsze ten cierpi więcej, kto płacze... (*po chwili*). Cóż? kocha inną?

REGINA. Hela...

TADZIK. A? (*wybuchu cichym, krótkim śmiechem*). Hela! No proszę! Hela! Jam myślał, że ona... a to tylko... (*milnie smutnie*). Jej więc zostało coś... a mnie? Wiesz... ja nie mogę... Patrzę na twoje cierpienie i nie mogę nawet... Ba! może ci zazdroszczę? (*zamyślony*). I ona — i ona! Wszystko tak, wszystko! i wszędzie! (*wszręsa się, drży — nagle gorączkowo przechadza się po pokoju, ściskając głowę ręką — natrafiła nogą na stłuczony wazon, drgnąwszy*). A to co? (*powstrzymuje wykrzyk zgrozy*). Nie mów mi, nie mów — już wiem. — Stłukł się ten wazon... ten po mamie — tak... wiedziałem o tem... ale że to już dziś... (*dreszcz go przechodzi*). Jak tu zimno... Tak. O! (*z jękiem dotyka głowy, klęka nad wazonem*). Pamiętasz... co to powiedziała moja stara niania? On taki, jak ten wazon... strzeżcie go... Bo jak się stłucze... I że to dziś... (*oczy otwarte szeroko*). Ha! (*wstaje, dreszcz go przechodzi znowu, patrzy na ręce swoje, które drżą silnie, gorączkowo, zajęty jedną myślą*). Więc jak to było? Dobro — prawda — praca dla ogółu... a jam odrzekł... Czy ty to, Reno, wiesz — napewno — (*z napięciem, w głąb siebie*). Czy ty to wiesz... tak zupełnie napewno — — ?

REGINA (*głucho*). Ja już nie nie wiem, nie nie wiem — oh!

TADZIK (*kiwając głową, chorobliwie, znów oczy nawpół zasłaniając powiekami*). Tak... tak... wiedziałem o tem... (*jak nieprzytomny, tragicznie*). Bo to jest właśnie najgorsze, że nie nigdy nie wiemy — tak napewno... (*po chwili innym tonem*). Ot i wszystko! (*potrąca nogą skorupy — nieszczercze, ciągle pod grozą strasznej myśli, która go opanowała*). Dobranoc, Rena... idę spać...

Dobranoc... (*wychodzi powoli, staje w drzwiach, zajęty ciągle jedną myślą*). A — a jak przyjdzie Heniek, to powiedz mu, że mnie mucha ucieła ot tu... (*pokazuje głowę*) taka zła, zjadliwa mucha (*namyśla się j. w. kręci głowę przecząco, kładąc palec na ustach*). Albo nie... (*z rozszerzonymi grozą powiekami*) że mnie pocałowała Psyche... taka piękna, lotna Psyche... pocałowała w same usta i... — — (*wychodzi nagle*).

— — — — —

SCENA 9.

REGINA.

REGINA (*sama — nie słuchała prawie, co on mówił, w niezmiernej męce. Zostawszy sama, stacza się aż na ziemię i tarza się po niej, nieprzytomna z bólu. Wreszcie milknie i leży chwilę nieruchoma. Nagle przychodzi do przytomności — podnosi głowę, wstrząsa nią dreszcz*). Co to? Dlaczego ja tu leżę? — Jak zimno! Dlaczego tu tak ciemno? Jesteś tu, babciu? — (*z rosnącym przerażeniem i niewytłumaczoną grozą*). Dlaczego nikt nie mówi? Dlaczego ja mówię głośno? Dlaczego — (*nagle z krzykiem, prędko*). Kto tu? Nie! to nie ja — (*zrywa się*). To nie ja, mamó! (*w szale chwytą się rękami za głowę*). Tadziu... Nieee!!... (*z przeraźliwym okrzykiem rzuca się ku drzwiom z lewej. — W tej samej chwili słyszeć z lewej, jakby z trzeciego pokoju, strzał z rewolweru*).

(*Zasłona spada*).

KONIEC.

W Krakowie, dnia 16 listopada 1900.

